ROK III. Nr. 17 (117) Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. 26 kwietnia 1931 r.

7 DNI

CENA 50 GR

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



NAWET KOŃ JEST CIEKAW, JAKIE HOROSKOPY DLA WYZNAWCÓW „TOTKA" PRZYNIESIE WIOSENNY SEZON

PANI PRASA

II. PRASA W NIEMCZECH

Prasę niemiecką znamy tu, u nas, bodajże najlepiej. Zarówno dzienniki, jak i pisma perjodyczne, mają szerokie rozpowszechnienie (w niektórych połaciach kraju może zbyt szerokie!), barwnemi plakatami ich oblepione są budki kolporterów we wszystkich miastach — a nawet i w stolicy.

I mimo to, prawdopodobnie nikomu z nas nie przyszło do głowy stwierdzić ciekawą właściwość prasy niemieckiej, polegającej na tem, iż pisma berlińskie bynajmniej nie są lepsze od pism prowincjonalnych, nie przewyższają ich ani pod względem redakcyjnym, ani również objętością lub wyglądem zewnętrznym, ani wreszcie nakładowo.

Pochodzi to stąd, iż również i regjonalizm posiada w Niemczech zupełnie specyficzne cechy, gdyż związanie interesów kraju w Berlinie jest kwestją, że tak powiem, organizacyjną, ugruntowaną do piero od drugiej połowy ub. stulecia. Berlin był stolicą Rzeszy, lecz nie stolicą całego kraju, w którym równolegle rozwijało się i żyło właściwem sobie życiem kilkanaście pomniejszych stolic.

To też mieszkaniec Hamburga lub monachijczyk, nie przywiązywał zbytniej wagi do pisma berlińskiego i stale popierał prasę lokalną, równie dobrze i szybko poinformowaną, dzięki obsłudze idealnie funkcjonujących agencyj.

Zjawisko to dotyczy nietylko dzienników, ale i pism perjodycznych, których mnóstwo wychodzi również w poszczególnych miastach Rzeszy, a więc obok takiego „Berliner Illustrierte", i „Münchener Illustrierte", i „Leipziger", i „Hamburger" i t. d.

Stąd też wynika, iż pisma niemieckie nie posiadają tak kolosalnych nakładów, jakby się zdawało.

Oto kilka cyfr: *)

Morgenpost	600.000
B. Z. am Mittag	250.000
Vossische Zeitung	100.000
Lokal Anzeiger	190.000
Deutsche Allg. Ztg.	150.000
Berliner Tageblatt	120.000
Leipziger Neuste Nachrichten	140.000
Koelnische Zeitung	180.000
Vorwaerts	120.000

i t. d. i t. d.

Na gruncie berlińskim wyrosły dwa potężne ugrupowania prasowe — Scherl i Ullstein.

Scherl, należący od kilku lat do magnata prasowego, osławionego Hugenberga, jest tworem stosunkowo młodym, gdyż powstał w roku 1883. Założycielem jego był niezwykle pomysłowy organizator, August Scherl, który rozpoczął swą działalność od wydawania znanego dziennika, „Berliner Lokal Anzeiger".

Powodzenie swe dziennik ten zawdzięcza iście amerykańskiemu gestowi — rozrzucania przez szereg dni pisma gratisowo. Wysiłek to niemały, jeśli zważyć, iż pierwotny nakład wynosił nie mniej 200.000 egzemplarzy dziennie.

W krótkim czasie, reklamując nowe swe poczynania na łamach dziennika, Scherl wypuścił szereg innych pism, a więc „Sport im Bild" i „Die Woche", następnie „Der Tag", „Die Gartenlaube", „Sherls Magazin", „Berliner Nachtausgabe" i t. d. Równolegle z rozkwitem kinematografji, powstały ogólnie znane i cenione w świecie filmu — „Der Filmwelt" i „Kinematograph". W dziedzinie radja niema chyba lepszego pisma nad „Europa stunde". Wydawnictwa Scherla reagują na każdą inowację życia, znakomicie kolportowane są na całym świecie, budząc powszechny podziw dla ich wyjątkowej żywotności i bogactwa zewnętrznej formy.

Ullstein nie pozostaje w tyle za swym konkurentem, a nawet przewyższa go dzięki większej sprężystości i łatwości przejmowania najnowszych koncepcyj, zarówno w samej dziedzinie wydawniczej, jak też pod względem technicznym. Wystarczy rzucić okiem na wspaniałe urządzenia techniczne zakładów drukarskich tej firmy, aby się przekonać, iż zastosowano tu wszystko, czego tylko może dostarczyć współczesna technika.

Cyfry, z któremi Ullsteinowcy dumnie zapoznają obcego przybysza, są doprawdy zdumiewające. Oto weźmy chociażby, że wybudowanie zakładów graficznych w Tempelhofie kosztowało nie mniej 140 miljonów marek; że w zakładach tych zatrudniona jest olbrzymia rzesza 10 tys. pracowników; że na wydanie takiego „Berliner Illustrierte Zeitung" zużywa się 1.467 wagonów papieru; że w archiwach przechowuje się zgórą 7 milj. fotografij i t. d. Każdy pomysł jest tu realizowany na niezwykle szeroką skalę. Piszący te słowa przypomina sobie np., iż w chwili pojawienia się na rynku jedynego w swoim rodzaju pisma popularnego „Die Grüne Post" — w ciągu trzech miesięcy rozwinięto olbrzymią propagandę i w samej Polsce rozrzucono kilka miljonów egzemplarzy gratisowo (rozumie się przez to, iż aczkolwiek publiczność płaciła za pismo, kolporterzy otrzymywali je darmo, byleby propagowali doskonałość wydawnictwa).

Scherl i Ullstein zwalczają się wzajemnie, jak tylko mogą. Prześcigają się w pomysłach, którym niepodobna zarzucić braku oryginalności, gdyż oba ugrupowania doskonale zdają sobie sprawę, iż czytelnika można zdobyć jedynie doskonałością wydawnictw i napływem wciąż odnawianych pomysłów.

Pod tym względem organizatorzy prasy niemieckiej prześcignęli wszystkich na świecie, bijąc o wiele długości i potężnych Amerykanów, i Anglików, i Francuzów, a pisma ich, przyznać to należy, zdobyły sobie zasłużoną poczytność na całej kuli ziemskiej.

Skoro mowa jest o współzawodnictwie pomiędzy Scherlem a Ullsteinem — niepodobna pominąć milczeniem wyższości pierwszej grupy nad drugą pod względem organizacji służby informacyjnej.

I tu znów dzieło to jest zasługą wyłączną Hugenberga, który potrafił rozbudować w szybkim czasie zakupioną przez niego tak zwaną T. U. („Die Telegraphen Union Internationales Nachrichtendienst") do niebywałych rozmiarów. T. U. jest tworem, datującym się z r. 1913, dzięki inicjatywie nie mniej uzdolnionego od Hugenberga organizatora, Ludwika Hirscha, który w rok później, wykorzystując wypadki wojenne i konieczność poddania wszystkich informacyj wymaganiom cenzury, skoncentrował dokoła siebie większość pomniejszych agencyj.

Począwszy od daty objęcia T. U. przez Hugenberga, t. j. od r. 1920, agencja ta coraz skuteczniej zaczyna konkurować ze znaną placówką Wolfa, w obecnej chwili zaś pozostawiła ją w tyle za sobą, dostarczając informacyj 1600 dziennikom, zarówno w kraju, jak i zagranicą.

Powodzenie swe zawdzięcza T. U. doskonałej organizacji służby informacyjnej, zwłaszcza w zakresie gospodarczym, docierając dzięki t. zw. „Eildienst" (obsługa radjowo-telefoniczna) do najmniejszych nawet placówek handlowo-przemysłowych, skąd czerpie odwrotnie szczegółowe dane o stanie i rozwoju interesów.

Zaznaczyć należy na zakończenie, iż Niemcy przodują i w innej, dość szczególnej dziedzinie wydawnictw. Mam tu na myśli pisemka specjalne, że tak powiem — obyczajowe. Nie mówiąc więc o organach, poświęconych np. informacjom matrymonjalnym (pojęcie to nie koniecznie ogranicza się na samem „matrimonium"), których możemy naliczyć około 200-u, Niemcy celują w propagowaniu modnego dziś „naturyzmu" oraz najnowszych teoryj seksuologicznych, poświęcając tym zagadnieniom 147 znakomicie prosperujących pism, jak „Lachendes Leben", „Soma", „Freibad", „Freikörperkultur" i t.d.

Nowe te tendencje mają rzekomo na celu zwalczanie niemoralnej hypokryzji. Wszystko szczerze — z otwartą przyłbicą, gwoli uzdrowienia przyszłych pokoleń. *Er.*



Intensywność pracy w prasie niemieckiej skłoniła karykaturzystów do zaproponowania usług robota-dziennikarza-rysownika.

*) Zauważyć należy, iż większość pism niemieckich wychodzi dwa razy na dzień. Cytowane przez nas ilości dotyczą pojedyńczego wydania.

Gdyby Golfstrom zmienił swój kierunek...



Mapa Golfstromu, sporądzona w roku 1770 przez Benjamina Franklina.

Na wybrzeżach słonecznej Florydy ,zdala od gwarnych plaż rozmaitych Beach'ów, zawrzała od niedawna dziwna praca. Oto, gromady poważnych uczonych, w otoczeniu sztabu współpracowników, uzbrojeni we flotę szybkobieżnych motorówek i ciężkich trawlerów rozpoczęły badania nad gorącą rzeką północnego Atlantyku, Golfstromem. Badania te, prowadzone od lat kilkudziesięciu, jedynie dla celów statystycznych, przybrały obecnie charakter całkiem inny. Ostatnie lata wykazały w Ameryce Północnej i Europie takie przesunięcia klimatyczne, niewspółmierne z kalendarzowem ustaleniem pór roku, oraz tak znaczne zmiany w natężeniu mrozów, że nasunęło się pytanie: czy nie jesteśmy przypadkiem świadkami jakiegoś nowego okresu w dziejach globu ziemskiego?

Ponieważ niema skutku bez przyczyny i przestępstwa bez winowajcy, winowajcą okrzyknięto Golfstrom, dotychczasowego ciepłodajcę Europy. Stwierdzono bowiem, że istnieje ścisły związek pomiędzy Golfstromem, wiatrami i klimatem. Sam zresztą Golfstrom jest dzieckiem passatów, wiejących z południowej części oceanu Atlantyckiego. Passaty te, pędzą olbrzymie masy ogrzanej wody ku wschodnim wybrzeżom środkowej Ameryki. Tutaj wody się rozdwajają przyczem część kieruje się ku południowi, reszta zaś, na wschód od Kuby i wysp Bahama, okrywa Jukatan i wpada do zatoki meksykańskiej, która jest właściwą kolebką Golfstromu. Gorąca rzeka wrzuca swe niezmierzone masy wód do północnego Atlantyku i na północ od Florydy kieruje się w stronę Europy, ogrzewając warstwy powietrza wzdłuż całego swego biegu. Ponieważ zaś Europa i Ameryka Północna leżą mniejwięcej pod jednakowemi szerokościami geograficznemi, nic więc dziwnego, że nieustanna wymiana wiatrów pomiędzy obu kontynentami nawiewa ciepłe powietrze w obu kierunkach. W ten sposób Golfstrom trzyma swą płynną dłoń na pulsie klimatu europejskiego.

Jednakże coś ostatnio popsuło się w państwie Neptuna i w górnych regjonach, rządzonych przez Eolów. Mrozy, jakich u nas nawet starzy ludzie niepamiętają, zaczęły swoje dokuczliwe rządy. Wiosna nie wychyliła o zwykłej porze swego promiennego oblicza. W połowie kwietnia ziemia otula się w najlepsze całunem śnieżnym. Nic dziwnego, że badając przyczyny tego szczególnego zjawiska, uczonym nasunęło się pytanie: A gdyby tak Golfstrom zmienił swój kierunek? Oczywiście, że zbyt trudno jest ściśle odpowiedzieć na to niepokojące pytanie. Można jedynie przewidzieć pewne zasadnicze zmiany, które z gruntu zmieniły mapę klimatyczną świata.

A więc powietrze nad północną częścią Atlantyku nagle oziębione, uniosłoby nad Stany Zjednoczone i Europę niewyczerpane zbiorniki pary wodnej, któraby lunęła istnym potopem na kontynenty. Cała północna Ameryka zyskałaby klimat deszczowy. Z Europą byłoby gorzej. Zostałaby zdobytą przez zimne wiatry, wiejące z północo - zachodu, z pól lodowych. Zapanowałyby naprzód mrozy syberyjskie, poczem kontynent europejski począłby przemarzać stopniowo od północy ku południowi. Lodowce i gleczery spełzłyby w doliny, poczem nastąpiłaby powtórna epoka lodowa. Burze zimnych wiatrów wtargnęłyby w dalszej swej wędrówce do północnej Afryki. Jednakże podmuchy ich zostałyby pokonane przez gorące passaty i w ten sposób Trypolis, Marokko, Tunis, Egipt, zyskałyby klimat umiarkowany, ze znacznemi opadami. Sahara przestałaby być „Saharą", a zamieniłaby się w kwitnącą równinę. Sztuczne nawadnianie pól w Egipcie zostałoby pogrzebane w najbardziej zapomnianych archiwach historji świata.

Czy zmiana kierunku prądu Golfstromu jest możliwą? I na to można dać ogólną odpowiedź. Może to nastąpić zupełnie niespodziewanie tylko w tym wypadku, o ile wody, wpychane przez południowe passaty do zatoki meksykańskiej, znalazłyby ujście na zachód, w stronę Pacyfiku. Nie jest to rzeczą zupełnie wykluczoną. Wązki pas ziemi, łączący obie Ameryki jest krajem najbardziej wulkanicznym. Praca sił tektonicznych na tym odcinku nie ustaje. Nieustanne wybuchy wulkanów, katastrofalne trzęsienia ziemi, którym ostatnio podległa republika Nicaragua, wskazują na możliwość otworzenia szerokich wrót, przez które Golfstrom runąłby całym swym ciężarem do Oceanu Spokojnego. Podobne zagadnienie powstało nawet podczas budowy kanału Panamskiego. Obawiano się, że wąska struga wody, łącząca oba oceany, może się stać groźnem niebezpieczeństwem dla Europy. Na szczęście Golfstrom okazał się w tym wypadku dość kurtuazyjnym i wysłał drobną cząstkę swych ciepłych wód w stronę Pacyfiku.

Inną wreszcie możliwością, mogącą spowodować zmianę kierunku Golfstromu, jest utworzenie zapory koło cieśniny Florydy. Jednakże technika ludzka nigdy nie byłaby w stanie temu zadaniu sprostać. Bezkonkurencyjnymi budowniczymi w tym wypadku są jedynie korale, które budują swe ściany od tysięcy lat i wiele jeszcze wody gorącej w Golfstromie upłynie zanim cieśnina Florydy zostanie przegrodzona twardą ścianą atolów koralowych.

Ostatnie badania uczonych nad Golfstromem i zmieniającym się stale klimatem Europy wykazały, że przyczyna katastrofalnych zmian atmosferycznych leży gdzieś na północy. Zwały zimnego powietrza, napychane naskutek bliżej nieustalonych przyczyn, z niezmierzonych pól lodowych, walczą zwycięsko z ciepłemi podmuchami Golfstromu, które rozbijają się o mroźną pierś przybysza z północy. Niewiadomo co nam przyniosą najbliższe dziesiątki lat; czy przypadkiem białe niedźwiedzie nie upatrzą sobie wygodnych legowisk w okolicach Milanówka i czy ślizgawka nie będzie jedynym uprawianym sportem tam, gdzie cytryny kwitną.

A wszystko to miałoby miejsce, gdyby Golfstrom nagle zmienił kierunek...



Laureatem nagrody muzycznej na rok 1931 został prof. Niewiadomski.





Dwie wystawy w Warszawie. U góry — grupa organizatorów wystawy turystycznej jugosłowiańskiej, u dołu — organizatorzy wystawy win węgierskich.

Po ustąpieniu króla Alfonsa, komentowanem, notabene, jako stan przejściowy — do czasu zwołania konstytuanty, od której zależeć będzie przyszły ustrój Hiszpanji, spokój zapanował w całym kraju. I, jak to zwykle bywa w podobnych okolicznościach, obecny rząd republikański wyniósł szereg spraw na forum publiczne, pragnąc otworzyć narodowi oczy na to, co się działo za czasów dyktatury i pociągnąć szereg osobistości do odpowiedzialności.

Dymisja przedstawiciela naszego w Gdańsku, p. min. Strassburgera, wywołała obszerną dyskusję na temat antypolskich nastrojów, nieodmiennie panujących w Niemczech.

Na czoło zagadnień międzynarodowych wysuwa się kwestja stanowiska, jakie zajmie Briand w stosunku do Niemiec. Część opinji publicznej, komentując pogłoski o planie, przygotowanym rzekomo przez Quai d'Orsay — zbliżenia taryf celnych Francji, Polski i Małej Ententy — radzi Briandowi zaatakować Berlin raczej na gruncie politycznym.

Ostatnie depesze zawierają alarmujące wiadomości o nowej rewolucji, tym razem w Hondurasie, dokąd Stany Zjednoczone wysłały natychmiast okręty wojenne i eskadry samolotów.



Scena uliczna z Madrytu po proklamowaniu republiki.



Pragnąc dać możność publiczności korzystania z pogody podczas tradycyjnych zabaw karnawałowych, popełniono anachronizm, przesuwając datę na tydzień po Wielkiejnocy.

Walka na nieznanym odcinku...

Walka o byt między ludźmi, mimo coraz trudniejszych warunków egzystencji jednostek i całych społeczeństw, aczkolwiek twarda i nieustająca, nigdy nie przybiera i w żadnym przypadku takiego bezwzględnego charakteru, jak w pierwszem lepszem środowisku, „zaludnionem“ przez te istotki, o których zazwyczaj najmniej wiemy z racji ich mikroskopowych wymiarów.

W ich „świecie“ odnajdujemy to wszystko, co z naszego świata pragnęliby wykluczyć ludzcy pacyfiści, przymykający oczy, pod naciskiem swej ideologji, na wiele niepożądanych, a przecież tak istotnych objawów, jak samo życie.

Z prawdziwym żalem musimy stwierdzić, że nawet w owym dniu archanielskim, gdy legnie jagnię obok lwa w kropli wody, zawisłej na pyskach tych czworonogów, stosunki się nie spacyfikują.

Pacyfikacja kropli byłaby równoznaczna z jej destylacją, destylacja zaś wiąże się ze śmiercią tego wszystkiego, co w kropli trwa i żyje. A przecież kropla „to niemała rzecz“, o czem świadczą, załączone do artykułu ilustracje, odtwarzające fragmenty kropel, zaczerpniętych z jezior, lub stawów, a oglądane wszystkowidzącem okiem mikroskopu.

To, co widzimy na ilustracji I-szej, nie jest bynajmniej puszczą dziewiczą, ani nadgangesową dżunglą, jeno zwykłym mikroskopowym obrazem nitek wodorostów, wydobytych z warszawskiego stawu na glinkach, wraz z tem, co do nich przylgnęło. Na długich, sztywnych niciach glonu, przypominających egzotyczny las bambusowy, rozmieściły się chyba kwiaty na smukłych wiotkich łodygach, ale jak wodorosty nie są bambusami, tak nasze kwiaty są tylko wymoczkami, prowadzącemi osiadły tryb życia. To, co przypomina kwietną koronę, jest w rzeczywistości jednokomórkowem, dzwonkowatem ciałem, o rozmiarach 0,04 mm—0,09 mm, przytwierdzonem na łodyżce do wodorostu. Łodyżka ta, długa i elastyczna, kurczyć się może, jak sprężynka i ściągać ciało do podłoża, lub je wypychać w stronę przepływającej zdobyczy, którą naganiają niestrudzenie rzęski, wieńcem okalające otwór gębowy tych osiadłych smakoszów, pochłaniających setki



Rys. 1. Powiększony obraz mikroskopowy glonów z osiadłemi na nich wirczykami.

tysięcy mniejszych od siebie bakteryj. Zwykle, jak widzimy na ilustracji, wirczyki osiadają w skupieniach, a widziane nieuzbrojonem okiem, sprawiają wrażenie delikatnej mgiełki, czasami opalizującej zielono z racji ich współżycia z pewnemi jednokomórkowemi glonami.

Tuż obok, na ilustracji II-ej i III-ej, pośród larw, drapieżnych owadów i kolonji mikroskopijnych, ale wielokomórkowych wrotków, rozpanoszyła się jedna z najciekawszych roślin drapieżnych—mięsożernych, której bynajmniej nie trzeba szukać pod zwrotnikami, jak mniema wielu laików. Jest nią pływacz, a biologja tej rośliny dostarcza ciekawości naszej niezmiernie obfitego materjału.

Oto z młodych pączków, zimujących na dnie stawu, na wiosnę kiełkuje roślinka o postrzępionych liściach, z drobnemi pęcherzykami (powiększonemi na rysunku II i III). Każdy pęcherzyk posiada otwór, przykryty dowcipną błoną. Przez otwór ten przenikają do wnętrza zdradzieckiego pęcherzyka drobne, a zawsze ciekawe i żarłoczne zwierzęta, które błona otacza swemi pomarszczonemi fałdami i uniemożliwia im odwrót. Coś podobnego właśnie uchwycono na III-ej rycinie, pęcherzyk pływacza wciąga w tym przypadku nawet sporą larwę owadzią; nieszczęsna zginie w nim, strawiona sokami żarłocznej rośliny.

W lecie jednak pęcherzyki zmieniają swą żarłoczną funkcję. Wypełniają się gazami i unoszą pływacza, pozbawionego korzeni, z dna stawu na jego powierzchnię, by tu, na długiej szypułce, wypchniętej nad wodę, mógł rozwinąć żółty kwiat, który w porze godowej zapylą owady. I któżby, patrząc na niewinny wodny kwiatuszek, pomyślał, że powstał przez mord zdradziecki nienasyconego nigdy roślinnego drapieżnika, na swój sposób biorącego odwet za wszystkie rośliny, bezkarnie niszczone i pożerane przez zwierzęta. Natura mimowoli okazuje sprawiedliwość, dając satysfakcję każdemu stworzeniu, nie dbając o anachronizmy. Bo czyż nie anachronizmem wydaje się atak drobniutkich Didinium na wielkiego Pantofelka (Paramaecium), który obserwujemy pod szkłem. Właśnie wielki i piękny Pantofelek jest ulubionym pokarmem tych drobnych korsarzy, którzy wspólnie uderzają na bezbronną zdobycz. Napróżno broni się Pantofelek, wyrzucając szereg drobnych pocisków, któremi osłania się, jak dymną zasłoną osaczony pancernik. Uparte torpedowce Didinium już biorą go na abordaż. Pantofelek zginie marnie, aby nakarmić swem ciałem odważnych najeźdźców. Ci sami zginą z kolei, natknąwszy się w swej wędrówce na bezrzęskowca akinetę lub sphaerophy'ę. Ten pierwotniak zdradziecki pokryty jest przysadkami, ostremi jak dzidy, na które wbija się nierozważna zdobycz, poto, aby przez inne mackowate twory zostać wyssana bezwzględnie. Mały pierwotniak w tym wypadku zachowuje się, jak mikroskopowa ośmiornica, trwająca wciąż nieruchomo w oczekiwaniu na zdobycz, i biada nieopatrznej, zaledwie przysunie się zbyt blisko, zostanie żywcem wyssana. Niema w tym światku litości i przebaczenia, stan wojny nie kończy się nigdy, a ten drobny szkic dał tylko jej najmniej znane epizody, które, dzięki udoskonalonym środkom badań, zachwiewają cały idealistyczny światopogląd na „niewinność“ wszelkiego stworzenia i „grzeszność“ człowieka.

Max.



Rys. II i III. Pęcherzyk pływacza z larwami raczków i owadów, w środku kolonja wrotków.



WŁODZIMIERZ POPŁAWSKI.



Reportaż

O pierwszej w nocy, od bramy do bramy wloką się wozy śmieciarskie.

Zaduch.

O drugiej wracają dystyngowani gentlemeni i piękne panie z bridża lub dancingu.

Mniej dystyngowani, idą zgarbieni i łaknący z nocnej zmiany do — zimnych łóżek.

Trzecia.

Dnieje.

Turkoczą wozy z jarzynami.

Zastrzyk witamin dla wielkiego, miljonowego miasta.

Czwarta.

Topielczo-sino.

Po asfaltach suną z rozgłośnym, brzękliwym terkotem, samochodowe „miotły" i polewaczki.

Czasami, ot tak, dla zabawy, szofer siknie zimnym strumieniem na zmaltretowaną, zgorączkowaną, „dziewczynkę".

Miasto się budzi.

Robotnicy, o ziemistych twarzach, rozespani stróże, wymiętoszone fraki kelnerskie.

Narasta ruch, narasta gwar.

Z każdą godziną, z każdą minutą.

Warstwa za warstwą...

Wyskoczyli pierwsi chłopcy z białem pieczywem gazet.

Biegną ulicami.

Przed knajpami, dancingami — „hrabia kupi, świeże wiadomości..."

Przed knajpami, dancingami goście z trudem gramolą się do taksówek, dorożek.

„*Więc przepijmy, więc przepijmy,*
Domek mały, domek mały..."

— Pana dziedzica do dziewuszek? — usłużnie podmawiają dorożkarze.

Rozbujały się dzwony kościelne.

W zimnych nawach dzwonią zębami dewotki—służące.

Solidarnie, szczekliwie, wrzeszczą syreny fabryczne.

Złe.

Nieprzystępne.

Dzwonią pierwsze tramwaje.

Turkocą wozy z mlekiem.

W setkach tysięcy kranów zaszemrała woda.

Płynie na dłonie.

Na twarze.

Głowy.

Do dzbanków.

Misek.

Czajników.

Ktoś misternie a szybko rozpala ogień w kuchni.

To przecież takie proste.

Ktoś jeszcze szybciej zapalił kuchenkę gazową.

Szczotki, miotełki, flanelki.

Szybko, szybko, szybko.

Narasta ruch, narasta gwar.

Gorąca kawa jest podła.

Cieplutka kawa — poemacik.

I bułeczki.

I masełko.

Gazetka na dzień dobry...

TWORZENIE RZĄDU RUMUŃSKIEGO.

NARADA O LOSACH EUROPY.

PARLAMENT NA GRUZACH STOLICY.

GROŹNA SYTUACJA NA MADERZE.

SAMOBÓJSTWO NAUCZYCIELA W PABJANICACH.

W WARSZAWIE JEST 23.600 BEZROBOTNYCH.

A dla urozmaicenia suchego, dziennikarskiego materjału — barwna malowanka: kwiatki, wazonik, książka, pudełko i podpis: Z pracowni artysty.

Wielkie miasto zaczyna pracować.

W tramwaju.

Człowiek przy człowieku.

Więcej chyba nie można.

— ...powiadam ci, miał takie śliczne, niebieskie oczy i, i... wyobraź sobie, był zupełnie nagi, no tak, nagi, a jak się do niego przysunęłam, to się zamienił w wiewiórkę... Nie wiesz, co to znaczy, jak się śni wiewiórka?

— Zobaczymy w senniku.

Dziewczyny są młode, z pośpiechu kiepsko wymyte, ale — przypudrowane, usta nienaganne.

Terkoczą bez przerwy.

Co się śniło, i co pokazywali w kinie.

Ile kosztuje imitacja szarego lisa i jak ubiera się Greta Garbo.

Aż tramwaj wyrzuci je przed biurem czy sklepem.

Sklepy otworzone.

Leniwie snują się za ladą subjekci.

Kasjerka szuka w romansie Zarzyckiej, założonej strony.

Po salach biurowych sunie ni to uprzejmy, ni to arogancki SZEF.

Zaludnia się.

Zapełnia.

W poczekalniach — klijent przy klijencie.

W warsztatach pieklą się tokarki.

Łyskają transmisje.

Łechoce kurz.

I rozpylona gruźlica.

Śpieszy się inkasent.

W Banku Polskim weksle przyjmują do dyskonta tylko od 8 do 9 rano.

Nauczyciel ma fluksję i rzewnie sepleni o wozie Drzymały, o dzieciach w Wrześni katowanych.

My teraz wolny naród.

Teraz my...

A młode żbiki z „Przysposobienia wojskowego" prawie że czują w dłoniach twarde karabiny.

Prawie że widzą łotra-Niemca...

Klinika chirurgiczna, sala IV, zwykła operacja wyrostka robaczkowego.

Szczękają metalicznie układane narzędzia.

Lekarz długo myje dłonie.

W ciepłej wodzie.

W sublimacie.

W 72% alkoholu.

Chory myśli o śmierci.

Blizcy o spadku.

Młody, przepity asystent gwiżdże „Caballero".

W sądach grodzkich odwalają „pysków-ki".

W sądzie okręgowym obrońca kwieciście przedstawia niewinność swego klijenta.

Narasta ruch, narasta gwar.

Szybko.

Szybko.

Szybko.

Jazgotliwie brzęczą tramwaje.

Trąbki taksówek.

— Na boook, — dorożkarzy.

A niskie limuzyny, lśniące, pyszne torpeda, nawet się nie śpieszą.

Kto kupił 100-konną „Hispanę", kupi i godzinę czasu.

Śpieszą się tylko małe, cherlawe żydki, z karjerą Rotschilda pod czerepem czaszki.

Śpieszą się zwiędnięte, chropowate palce robotnic.

Śpieszą klawisze linotypów.

Dłonie stenotypistek.

„W uprzejmej odpowiedzi na pismo Panów z dn. 8-go b. m., śpieszymy donieść, iż rozpatrzyliśmy Ich propozycję i miło nam będzie przystąpić do osobistego omówienia wspomnianej sprawy. Oczekując łaskawej wizyty przedstawiciela i pełnomocnika Panów, pozostajemy z poważaniem".

— Jeśli ja tego łobuza nienabiję przynajmniej na sześćdziesiąt procent, możesz mi dać po pysku...

Ba, interes, to mądra rzecz.

Ten mały, „plajciarski" i ten wielki.

Ze skórzanemi poduszkami na drzwiach dyrektorskich gabinetów.



Tam są ceduły gield całego świata.

Jakiś niepozorny człowieczek kupuje wełnę w Sidney, sprzedaje kamgarn w Bejrucie, weksle dyskontuje w Londynie, akcje w Berlinie.

A tkwi między czterema ścianami eleganckiego gabinetu.

Pan dyrektor.

Potentat.

Telefony słabną ze zmęczenia.

Urzędy.

Banki.

Sklepy.

Biura.

Sądy.

Fabryki.

Tramwaje, dorożki, taksometry, autobusy, wozy, motocykle.

Magicy policjanci.

Nieznani złodzieje.

I ludzki, rozsypany groch.

Z ulicy w ulicę.

Z bramy w bramę.

Chwilami bolą stopy.

Poprostu źle uszyty trzewik.

Chwilami boli serce.

Ba...

Nerwy są cieniuteńkie, jak pajęcze smużki.

W odludnej uliczce — za grubemi murami kogoś biją w mordę.

Mocno, fachowo, precyzyjnie...

— Na rany Boskie, ludzie!!! Powiem, co chcecie powiem.

Przestali.

Jakby słońce przygrzało.

Tylko w ustach słono i mdło.

— Musicie pamiętać, kolego, że szanujący się gentleman nie włoży do popielatego garnituru koszuli bronzowej. Najlepiej będzie wyglądała popielata, w jakiś delikatny rzucik, albo ciemno-błękitna. To niby drobnostki, a bez nich z całości — nici. Ale tu nie warto kupować. W Madrycie, obok naszego poselstwa, jest cudowny magazyn, wszystko znacznie tańsze, zajrzyjcie tam...

Kawiarniane sale; rano, prawie o świcie, pucowały pomywaczki, elektroluxy, szykany.

Teraz coraz pełniej.

Starsi panowie, jakby rentjerzy, właściwie pośrednicy, szukający gotówki na hipotekę.

Czytają gazety.

Przejezdni oficerowie.

Kobiety.

Młode.

Starsze.

Stare.

Kobiety już „z przydziałem".

Kobiety czekające nań.

Tępe, zaondulowane i pachnące.

Dobrze wykąpane, znudzone.

Entuzjastki Pitigrilli'ego, Dekobry.

Poczciwe, znudzone damy.

Kelnerzy.

Bardzo uprzejmi, bardzo aroganccy.

Każdy ma swoje kłopoty.

Miasto żyje, tętni.

Łoskocze ruchem ulicznym.

Stukotem maszyn do pisania, kas „National", brzękiem dzwonków telefonicznych.

Ludzkim wrzaskiem.

Cykaniem zegarów.

Na dworce wbiegają zakurzone pociągi.

Rzym, Budapeszt, Paryż, Calais, Niegoreloje, Piaseczno, Czerniowce, Gniezno.

Ludzie wychodzą z wagonów, jak zwierzęta z klatek.

Trochę niepewni, bardzo uważni.

Chłopcy sprzedają pomarańcze i lemonjadę.

Pociągi odchodzą.

Uciekają.

Lustrzane szyby pullmanów.

Walizki ze świńskiej skóry i pledy z Edynburga.

Hotelowe nalepki: *Negresco*, *Palace-Hotel*, *Terminus*, *Savoy*...

— A pisz...

— We wtorek weksel, przyślij gotówkę.

— Czekaj 14-go u Bauera.

Listonosz pnie się na czwarte piętro.

— List do pana doktora...

W eleganckiej kopercie luksusowy prospekt stacji klimatycznej i kąpielowej Abbazia.

Doktór umarł rok temu.

Żona szyje poduszki i lalki z gałganków. 15—20 zł. tygodniowo.

Abbazia.

„Kilka kortów tenisowych, golf, sporty wodne. Szermierka, tier-aux-pigeons, piłka nożna, klub szachistów. Garaże o znacznej ilości boksów i warsztaty reparacyjne".

ABBAZIA!!!

Niezmęczenie suną naprzód wskazówki zegarów.

Jedenasta.

Dwunasta.

Pierwsza.

Druga.

W domach szczękają talerze.

W restauracjach kelnerzy krzyczą: „Kotlet raz".

Oczy urzędników prawie przylgnęły do zegarowych tarcz.

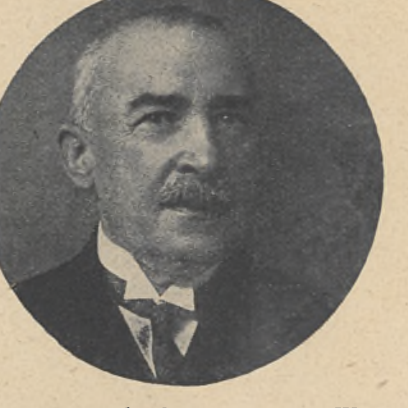
Na ławce, w parku, siedzi prostytutka.

W słońcu.

Mózg pracuje.

Jeśliby codziennie chociaż czterdzieści, to trzydzieści można odłożyć...

Nie, dwadzieścia pięć. Łachów za darmo nie dają.



Laureatem nagrody literackiej m. Warszawy został zasłużony pisarz, Zdzisław Dębicki. Wyróżnienie to zostało powitane z uznaniem przez szeroki ogół społeczeństwa.

Nawet dwadzieścia.

Miesięcznie — 600.

Po roku — 7.200.

Sklep z kapeluszami, albo lepiej — spożywczy.

Jeść wszyscy muszą.

Godziny niby wloką się, a przecież — biegną.

Zapalają latarnie.

Błyskają, to gasną żarówki reklam.

Lśnią dystyngowane neonowe napisy.

Łuna z witryn.

Łuna z westybulów kinowych.

Rod la Roque, Marllen Dietrich, Greta Garbo...

W kawiarniach jazz.

Czasami walczyk wiedeński.

Kobiety są jeszcze piękniejsze.

Rwący zgrzyt.

Zapóźno.

Pod gniotliwemi pneumatykami czerwonego autobusa — łachman.

Skrwawiony, nędzny łachman.

Blademu szoferowi drga szczęka, policjant, tłum.

LUDZIE. Pogotowie.

Wóz z prosektorjum.

W redakcji nuda. Żadnych szlagierów.

Młody dziennikarz melancholijnie „wyłapuje" komisarjaty.

Nic.

Pogotowie.

— No? Już notuję: *Na zbiegu Mokotowskiej i Koszykowej rzucił się pod autobus linji A-bis mężczyzna nieznanego nazwiska. Mimo natychmiastowego zahamowania, lekarz Pogotowia stwierdził zgon.* Wszystko? Dziękuję, dziękuję. No, mój Boże. zawsze lepsze coś, niż nic. Sługa.

Słuchawka na widełki.

Z boku notatki dopisek: *petit, 4 kol. u dołu.*

Do zecerni.

Mężczyzna nieznanego nazwiska.

Pasażerów, autobus linji A-bis pogubił na przystankach.

Poszli do domów, kin, teatrów.

Poszli słuchać „Nóżki na stół" czy „Opowieści Hoffmana".

Poszli kochać się i kłócić...

Autobus A-bis wraca tą samą drogą.

Napchany, jak beczka śledzi.

Przy zbiegu Mokotowskiej i Koszykowej asfalt, w świetle lamp łukowych lśni tak samo, jak na pl. Teatralnym.

Najmniejszego śladu.

O pierwszej w nocy, od bramy do bramy, wlec się będą wozy śmieciarskie.

Zaduch.

Les rois s'en vont



Wiek XX jest jakoś dla monarchów pechowy. Znacznie więcej od XVIII i XIX, gdzie, jeśli spadała jakaś ukoronowana głowa, to po to tylko, aby pomnożyć zastęp pretendentów do tronu i po pewnym czasie zostać zastąpioną przez inną. Jedyny bodaj wyjątek stanowiła Francja po upadku Napoleona III.

Natomiast wiek XX od początku obszedł się z monarchami okrutnie. W pierwszym zaraz dziesięcioleciu spadła korona portugalska. Ojczyzna Vasco-De-Gamy postanowiła rozwieść się z domem „Obojga Sycylji". Mały stary pancernik, ochrzczony imieniem wielkiego podróżnika, wycelował swe działa na pałac królewski. Król Manuel, którego tron zabrukany już był krwią ojca i brata, wyjechał do Anglji.

Potem przyszła kolej na pałacową rewolucję w Turcji. Skończył się Abdul-Hamid, którego następca też niedługim cieszył się panowaniem nad ziemiami padyszacha i haremami, pełnemi odalisek. Dziś w Turcji kobiety chodzą bez czarczafów, mężczyźni w melonikach, a stare Amerykanki przymierzają sobie haremowe łoża i kąpią się w basenach, gdzie pluskały się dawniej li-tylko sułtańskie faworyty. Tempora mutantur.

Wogóle wielka wojna sprawiła, że runęły cztery cesarstwa (Rosji, Niemiec, Austrji i Turcji), królestwa Prus, Saksonji, Bawarji, Würtembergji, Węgier, Czarnogórza, Grecji, cały szereg udzielnych księstw i księstewek Rzeszy Niemieckiej. To też na gościnnej zawsze Rivierze powstała istna pepiniera panujących na wygnaniu i co drugi przechodzień należał tam do rodziny ukoronowanej. Opowiadano na ten temat następującą anegdotkę:

Pan Dupont, rentier, kupiec winny i przedstawiciel domu handlowego „Dupont, Ducrot et Cie", spaceruje po Promenade des Anglais w Nicei. Po chwili kłania mu się jakiś pan, w wyświechtanym tużurku.

— Kto to jest? — pyta małżonka swego pani Dupont.

— To król Saski.

— A ten drugi wysoki, w białych getrach?

— To król Wirtemberski.

— I kłaniają się obie pierwsi?

— Ja myślę — c'est la politesse des rois?

— A ten, co się teraz kłania?

— To król Polski.

— Człowieku, przecież Polska to republika...

— A tamte państwa nie? Zresztą z temi wszystkiemi nazwami można się przecież pomylić. Chciałem powiedzieć — Portugalski.

Rzeczywiście, Don Manoel bardzo chętnie przebywa na Rivierze, gdzie klimat jest znacznie łagodniejszy, niż w surowym i mglistym Albionie. I nietylko klimat. Bo na Rivierze bywają też czarujące kobiety: Zuzanna Leglen, o której przez pewien czas plotkowano, że miała zostać niekoronowaną królową Portugalji *in partibus infidelium*. Senorita Alvarez i tyle innych, żądnych miejsca, które ongi dzierżyła mocno dobra, poczciwa i uczynna, a przedwcześnie zgasła Gaby Delys.

O Manoelu opowiadają jeszcze inne historje. Podobno kiedyś wyraził się, że zna obecnie tylko jedną kobietę taktowną i hołdującą prawdziwym dworskim obyczajom.

— To, zapewne, Jej Królewska Wysokość — Królowa Matka? — spytano.

— O nie, — odparł ze spokojem król. To dzierżawczyni gabinetów w restauracji „Ambassadeurs".

Gorzej rzecz się ma z koronowaną emigracją rosyjską. Dusza słowiańska, pełna chandry i nihilizmu, jakoś źle przyswaja się do życia na wygnaniu. Pachną jej wciąż les tournées des grands-ducs z jednej, a noce, spędzone w czrezwyczajce, z drugiej strony. Ciało miota się między dwoma ostatecznościami. Albo przedwojenna grandezza i dwór pretendenta (w. ks. Cyryl), albo ostateczne upodlenie, dno nędzy i rozpusty, szafowanie dla pieniędzy tradycjami rodzinnemi, a nawet godnością osobistą. Wśród tego bagna, nieliczne wyjątki rycerskie: wielka księżna, zatrudniona jako krawczyni w wielkim magazynie, albo inny „duc" - szofer taksówki.

A tymczasem drwal z Doorn rąbie drzewo, flancuje róże i... żeni się w wieku powyżej kanonicznego. Już to, widać, wygnanie bez kobiety musi być rzeczą smutną. Zresztą jego cesarska siostra dała pierwsza przykład, poślubiwszy trzykrotnie od niej młodszego Zubkowa. Mal lui en prit, biedaczce.

Niektórzy twierdzą, że Doorn jest dla Wilhelma II tem samem, czem Elba dla Napoleona i że czeka on tylko, aż wybije godzina powrotu i wierny feldmarszałek zamelduje mu gotowość armji bić się „für Kaiser und Vaterland". Pamiętajmy jednak, że po Elbie i stu dniach nastąpiło Waterloo i Święta Helena. A ztamtąd już się nie powraca.

O ile sympatyczniejszą była postać czarnogórskiego „cara" Mikity, odbywająca wygnanie w małym domku w Neuilly — przedmieściu Paryża. Paryżanie z czasów wojny pamiętają doskonale, wielkiego, tęgiego i dobrodusznego starca, spacerującego po swym półmorgowym parku, przyczem dwóch innych starców, w czarnogórskich strojach narodowych, czuwało zdala nad osobą dawnego pana i władcy, jednego z najwaleczniejszych plemion świata.

Obecnie do plejady królów na wygnaniu przybywa jeszcze jedna postać, Alfons XIII, król Hiszpanji, Kastylji i Leonu, książę Katalonji, Pan na Irunie, hrabia baskijski i t. d., i t. d. Dziwna rzecz. Panujący ten był wszędzie popularny, z wyjątkiem... własnego kraju. Nikt nie jest, wprawdzie, prorokiem... ale, swoją drogą, niechęć do własnego króla była w Hiszpanji wprost proporcjonalną do sympatji, jaką darzono go w całej niemal Europie, a może i Ameryce.

Ubywa więc jeszcze jedna korona i jeszcze jeden tron. Alfons trzynasty z imienia, na pokładzie krążownika „Principe Alfonso" odpłynął do Marsylji. Charakterystyczne, że marynarka wojenna w niektórych krajach jest narzędziem przewrotu, w innych znów ostoją wierności starego regime'u. W marynarce francuskiej naprzykład, która ma w swej historji największą ilość rewolucyj i najdłuższy okres służby trzem republikom, żyją jeszcze dawne tradycje z czasów Króla Słońca i wszechwładnych kardynałów. Prawda, że pierwszym wykładowcą we flocie „lilji burbońskiej" był ojciec Hoste — jezuita.

Tak czy inaczej, należy uważać. Korony zaczynają lecieć jak grad i kto wie... może któraś spadnie nam na głowę. Ostatecznie rzemiosło króla na wygnaniu też nie jest takie strasznie przykre. Ma się przedewszystkiem szalone powodzenie u kobiet i możność ożenku z pierwszorzędną miljarderką.

A jednak, gdy spojrzymy na mapę Europy, nie możemy oprzeć się pewnej melancholji. Pozostałe jeszcze królestwa jakby skuliły się lękliwie, skupiając się na dwóch krańcach: Północy i Południu. U góry potężny jeszcze tradycjami blok anglo-skandynawski, u dołu Italja — królestwo „si l'on veut" i kraje bałkańskie. Po środku wielka połać ziemi, nakryta czapką frygijską więcej lub mniej czerwoną.

Alfonsa XIII przyjmowano w Masylji — kolebce republiki — bardzo serdecznie. Przypomniano snać jego słynne z czasów wojny powiedzonko: „W Hiszpanji ja i hołota życzymy Francji zwycięstwa". Bo poza królem i motłochem ogół Hiszpanów należał do zagorzałych germanofilów.

Jakie są dalsze plany królewskiego wygnańca, jeszcze nie wiemy. Jeden z magnatów polskich oddał mu do dyspozycji swój zamek, ale wątpliwe, czy król zechce zeń skorzystać. Będzie pewnie wolał słoneczną Francję lub Italję.

Jimmy.



Don Manoel portugalski zmienił swój stolec królewski na stołek sędziego w tenisie.



B. cesarzowej Zycie, wdowie po ex-cesarzu Austrji Karolu, pozostało jedynie ośmioro pretendentów do tronu.



B. cesarz Wilhelm II w towarzystw[illegible] kronprinca, w swej kwaterze głównej na zacho[illegible] froncie.



Ex-król hiszpański, Alfons XIII, jest namiętnym amatorem polo.



Były król grecki szuka zapomnienia w sporcie myśliwskim.

J. S. FLETCHER. 9)

MORDERSTWO NA OGRODOWEJ

Streszczenie poprzednich rozdziałów.

Do młodego adwokata, Shelmore'a, zamieszkałego w miasteczku Southemstowe, zgłasza się młoda panna, Cyntja Gretty, z tem, że opiekun jej, pan Deane, zniknął nagle z hotelu, w którym miał na nią oczekiwać. Adwokat i Cyntja udają się do hotelu, by zbadać sytuację na miejscu. Wzywają inspektora Mellaponta, który, po śledztwie wśród służby, powierza sprawę swemu najzdolniejszemu detektywowi, Johnowi Hackdale.

ROZDZIAŁ VIII.

TEORJA PANNY PRETTY.

Usłyszawszy odmowę Bartletta, Pemberton postanowił poszukać kogoś innego. Nie przedstawiało to, zresztą, specjalnych trudności, w mieście bowiem wałęsało się wielu bezrobotnych, którzy chętnie podjęli się nieciężkiego stosunkowo zadania za zapłatę dziesięciu szylingów. Nazajutrz rano, już o dziewiątej, na wszystkich murach miasta powiewały świeżo rozlepione plakaty, zwracając uwagę każdego niemal przechodnia.

Plakaty te nie uszły również uwagi Mellaponta, który o zwykłej porze szedł wolnym krokiem do Komendy Policji, aby rozpocząć codzienne swe urzędowanie. Zauważywszy plakat, Mellapont zaklął zcicha. Przez cały czas jego karjery policyjnej w małem miasteczku Północnej Anglji nie zdarzyło się nic takiego, coby mogło dopomóc do wzniesienia się Mellaponta na jakiś wyższy szczebel i zapewnić mu sławę zdolnego detektywa. Teraz nareszcie, dzięki tej tajemniczej zbrodni, Mellapont miał nadzieę, że miasteczko obwoła go swym bohaterem. Dlatego też postanowił prowadzić śledztwo na własną rękę i nie dopuścić doń żadnego ze zdolniejszych detektywów. Całej tej afery wolał nie rozgłaszać, lękając się, że londyński Scotland Yard zechce zająć się tą sprawą, a wówczas jemu, Mellapontowi, pozostałoby tylko przyglądać się całemu śledztwu zdaleka. Plakaty te były mu bezwarunkowo nie na rękę, bo mogły przecież pokrzyżować wszystkie jego plany i całkiem niepotrzebnie roznieść wiadomość o zbrodni po całej Anglji. Nie zastanawiając się ani chwili dłużej, Mellapont skierował się w stronę kancelarji adwokata Shelmore i zaraz na wstępie zwierzył mu się ze swych kłopotów. Shelmore pokiwał głową i rozłożył ręce bezradnie.

— Nie moja wina, inspektorze — tłumaczył się. Właściwie ja osobiście zgadzam się z panem zupełnie. Ale nie można przecież tego wytłumaczyć tej młodej osóbce, która jest o wiele energiczniejsza, niż mi się zdawało. Panna Pretty żądała bezwzględnie rozlepienia tych plakatów. Zaznaczyła mi chłodno, że chociaż nie jest jeszcze pełnoletnia, posiada jednak dość znaczny kapitał w bankach londyńskich, złożony na swoje imię i kapitał ten w każdej chwili może z banku podjąć. Pozatem oznajmiła mi, że gotowa jest wydać wszystko, co posiada, aby tylko wykryć mordercę swego opiekuna. Należy ona do tego typu niewiast, które nie pozwalają się zbić z tropu i które posiadają własny swój pogląd na życie. W krótkim czasie doszedłem do wniosku, że wszelkie perswazje na nicby się nie zdały. Przyszła do mnie z postanowieniem wyznaczenia tej nagrody, a ja, jako jej pełnomocnik, musiałem się zgodzić na każde żądanie klijentki. Gdyby ją pan znał lepiej...

W tej samej chwili drzwi do gabinetu się otworzyły i Simmons Hackdale zameldował półgłosem:

— Panna Pretty!

Panna Pretty wkroczyła do gabinetu, witając Shelmore i Mellaponta grzecznem skinieniem głowy. Żałobna suknia dodawała jej wdzięku i sylwetka dziewczyny zdawała się być bardziej kształtna i wysmukła.

— Mówiliśmy właśnie o pani, panno Pretty! — rzekł Shelmore, podsuwając gościowi fotel. — Inspektor Mellapont wyraził swe niezadowolenie z wyznaczenia nagrody za odkrycie mordercy.

Panna Pretty zajęła miejsce w fotelu i bladą swą twarzyczkę zwróciła do Mellaponta.

— Właściwie dlaczego? — zapytała.

Mellapont potarł dłonią podbródek. Nie przyzwyczajony był do omawiania tak poważnych spraw z młodemi kobietami, to też spoglądał teraz na dziewczynę, jak archeolog spogląda na wykopany szkielet przedpotopowego zwierzęcia.

— Hm! — mruknął w zamyśleniu.— Według mnie, nie odniesie to żadnego skutku, proszę pani. W tego rodzaju sprawach najlepiej pozostawić wszystko policji i nie działać na własną rękę. Trzeba się uzbroić w cierpliwość i czekać...

— Nie widzę powodów, dla których miałabym czekać! — przerwała panna Pretty. — Takie czekanie może tylko dopomóc mordercy. Nie mam zamiaru radzić panu, panie inspektorze, bo pan ma swoje poglądy, a ja swoje. Opiekun mój został zamordowany, nic więc dziwnego, że pragnieniem mojem jest dowiedzieć się, kim był morderca.

— Otóż właśnie! Zupełnie się z panią zgadzam — przyznał Mellapont, uśmiechając się uprzejmie. — Ale, powtarzam, że w takich wypadkach należy kierować się, że tak powiem, dyplomacją, bo tylko dyplomacja może doprowadzić do celu. Posiadamy rozmaite sposoby wykrywania morderców, a jednym z najlepszych jest utrzymywanie wszystkiego w ścisłej tajemnicy. Wszyscy doszliśmy do wniosku, że pan Deane został zamordowany. Czy z konkluzji tej wyciągnęła pani jakieś nowe wnioski?

Panna Pretty zamyśliła się przez chwilę.

— Sądzę, że morderca ów przybył tu za

Nowoczesne pielęgnowanie urody

Silny prąd postępu wiedzy lekarskiej znosi konsekwentnie dotychczasowe mgliste, teoretyczne pojęcia, szary pusty szablon dawnego lecznictwa, a jednocześnie odsłania istotną treść przełomowej twórczości, zdobytej usilną pracą myślową oraz licznym szeregiem niezbitych niczem doświadczeń. Rezultaty postępowego przełomu w różnych gałęziach medycyny nie mogły pozostać bez wpływu na lekarską kosmetykę. Runął bowiem szablon posługiwania się byle jakim uniwersalnym kosmetykiem, prysły przesądy i złudzenia, a na gruzach dawnych, szkodliwych norm i praktyk zakwitła wiedza o *indywidualnem* pielęgnowaniu urody, preparatami lekarsko-kosmetycznemi, dostosowanemi do danych wymogów i wskazań. Niepodobna zatem, w dobie prawdy, postępem ukształtowanej, opędzić się jednej przykrej myśli: dawania posłuchu dziś jeszcze profanom, którzy drogą pustych frazesów w ulotnych broszurkach dążą do wskrzeszenia dawnego bezmyślnego szablonu. Objaw ten nas nie dziwi, ale też zgoła nie zatrważa, uświadomienie bowiem ogółu inteligencji zatacza szybko coraz szersze kręgi do takiego już stopnia, iż samodzielnie odróżnia się cerę prawidłową od tłustej, suchej lub wiotczejącej i dostosowuje odpowiedni preparat już to do zachowania po długie lata świeżego wyglądu, jużto — zwalczania wad urody. Przykłady wyjaśnią najlepiej powyższe wywody. Dawniej posługiwano się do wszelkich właściwości cery jednym, uniwersalnym pudrem, często, niestety, z zawartością tak szkodliwych metali, iż nietylko skóra ulegała zanikowi, lecz i zdrowie cierpiało. Nie rozumiano, że tłusta cera wymaga odtłuszczenia i przeobrażenia w prawidłową, co dla każdej innej właściwości byłoby zgubne. Dziś poszczycić się możemy odrębnemi, roślinnemi pudrami, dostosowanemi ściśle do indywidualnej właściwości cery. Mam na myśli znane powszechnie, wykwintne pudry z przepisu Dra Lustra: higjeniczny dla tłustej cery i egzotyczny dla każdej innej właściwości. Pudry te, wyrabiane w 12 kolorach, łączą w sobie wszelkie zalety higjeny i estetyki. Metaliczne bowiem pudry zasklepiają szczelnie pory, utrudniają zatem wymianę gazów drogą skóry, a co gorsze — warunkują przedwczesne marszczenie się skóry, w następstwie zaniku włókien elastycznych. Uniwersalny krem stał się dziś również w świetle nowoczesnej wiedzy przestarzałym zabytkiem. W ostatniej bowiem dobie przekonano się, iż do odbudowy komórek skóry potrzebne są składniki, pobudzające jej gruczoły dokrewne, tudzież lipoidy, jako budulec. Sucha i wiotczejąca cera wymagają takich właśnie składników, a zawarte są w kremie „Oxa" Dra Lustra. Prawidłowa skóra wymaga tylko stałego ożywiania naskórka, co osiąga się Dra Lustra kremem „Mira". Krem znów „Ultrasol" stanowi środek ochronny dla uprawiających sporty, przed zmianami atmosferycznemi, a mężczyznom odda znakomite usługi, łagodzące podczas i po goleniu.

Dr. med. J. Libański.

nim, do Southernstowe — rzekła wreszcie. — Mordercą tym musiał być ktoś, kto wiedział, że opiekun mój miał przy sobie biżuterję i pieniądze. Przypuszczam nawet, że morderca zatrzymał się również w hotelu Chancellor, aby móc łatwiej śledzić swoją ofiarę. Mówiono mi, że tej nocy mnóstwo nieznanych gości przybyło do hotelu i niektórzy wyjechali już nazajutrz rano. Nie wiem, czy owych tajemniczych gości można byłoby wyśledzić. Sądzę, że policja mogłaby to uczynić i przeprowadzić badanie każdej poszczególnej osoby?

— Mojem zdaniem sprawa ta również się tak przedstawia — zauważył Mellapont. — Zachodzi tylko pytanie, dlaczego pan Deane o tak późnej porze wyszedł z hotelu?

— Myślałam o tem — rzekła panna Pretty — i doszłam do wniosku, że musiał mieć jakieś przyczyny. Pozatem pan Deane cierpiał na bezsenność i niejednokrotnie wspominał mi, że trudno mu zasnąć na nowem miejscu. Nawet w domu będąc, zazwyczaj późnym wieczorem wychodził na spacer przed udaniem się na spoczynek. Sądzę, że owej nocy również nie mógł zasnąć, to też ubrał się i wyszedł na krótką przechadzkę. Bardzo prosta przyczyna!

— Jesteśmy pewni, że wyszedł z hotelu, jak również pewni jesteśmy, że został zamordowany i ograbiony — uśmiechnął się Mellapont.— Jednakże, — dodał po chwili, — jak dotychczas, nie udało nam się natrafić na ślad przestępcy. Według mnie mordercą tym musiał być jakiś włóczęga, któremu zależało głównie na rabunku, ale z drugiej znów strony wierzę święcie, że pan Deane znał kogoś w Southernstowe i że celem nocnej jego przechadzki było zobaczenie się z tą niewiadomą osobą.

Panna Pretty potrząsnęła przecząco głową.

— Jeszcze przed wyjazdem z domu — rzekła po chwili, — pan Deane wspomniał mi, że nigdy w życiu nie był w tych stronach. Jakże więc mógł znać któregoś z tutejszych mieszkańców? Gdybym wiedziała, że znał tu kogoś i że widział się z tym kimś owej nocy, gdybym miała jakieśkolwiek podejrzenie...

Umilkła nagle, potrząsając głową i spoglądając wymownie na Mellaponta.

— Tak, — odezwał się inspektor. — Gdyby pani miała takie podejrzenie, to cóż wtedy?

— Wtedy — odparła panna Pretty z niesamowitym błyskiem w oczach, — wtedy—siedziałabym tutaj tak długo, dopóki nie odnalazłabym tej tajemniczej osoby, a na odnalezienie nie szczędziłabym żadnej sumy.

— Więc pani nie wierzy w dobre chęci policji, panno Pretty? — zapytał Mellapont.

— Nie zastanawiałam się nad tem, bo może zbyt zajęta jestem tem, co sama czynię! — oznajmiła dziewczyna. Policja niechaj działa na własną rękę, a ja będę robić, co do mnie należy. Sądzę, że wspólnemi siłami dojdziemy wreszcie do pomyślnych rezultatów. Panie Shelmore, — zwróciła się do adwokata, jak gdyby uważała rozmowę z Mellapontem za skończoną, — przyszłam tutaj do pana w dwóch sprawach. Przedewszystkiem chciałam się porozumieć w kwestji pogrzebu mego opiekuna i w kwestji tej rozprawy śledczej, o której mi pan wspominał. Pragnę pochować pana Deane w Southernstowe i zakupiłam już nawet miejsce na cmentarzu. Ale co z tą rozprawą?

Shelmore spojrzał na Mellaponta, a tamten pośpieszył wytłumaczyć.

— Rozprawa śledcza odbędzie się dzisiaj popołudniu — rzekł. — Będzie to raczej formalne odczytanie protokułu, spisanego w chwili znalezienia zwłok. Sędzia śledczy odroczy potem rozprawę na tydzień, albo dziesięć dni, bo może w ciągu tego czasu uda się policji zebrać jakieśkolwiek dane. Ja osobiście czynię wszystko, co jest w mojej mocy, panno Pretty. Gdyby na ogłoszenie o nagrodzie zgłosił się ktoś, zechce pani łaskawie zawiadomić mnie o tem. Wogóle prosiłbym, aby pani nic nie przedsiębrała bez mojej wiedzy. Przypuszczam, że zostanie pani jeszcze kilka dni w Southernstowe?

Panna Pretty obrzuciła obydwóch mężczyzn spojrzeniem, pełnem stanowczości.

— Nie ruszę się stąd, dopóki się nie dowiem, kto jest mordercą Jamesa Deane! — rzekła ze spokojem.

Z takim samym spokojem podniosła się z fotela i, skinąwszy obojętnie główką na pożegnanie, równym krokiem opuściła gabinet. Shelmore i Mellapont siedzieli na swych krzesłach, jak skamieniali.

— Widzi pan? — odezwał sięwreszcie Shelmore, po dłuższej chwili milczenia.

— Widzi pan? — odezwał się wreszcie Shelmore. Hm! Wątpię, czy ktośkolwiek zdołałby wyperswadować to tej upartej niewieście Powiada pan, że ma ona dopiero lat dziewiętnaście?

— Coś koło tego — odrzekł Shelmore.

— Boże święty To co będzie, jak skończy lat dwadzieścia dziewięć? — zawołał Mellapont. — Zostanie chyba ministrem! Sądzę, że i pan mnie zawiadomi, jeżeli zgłosi się ktoś w chęci otrzymania nagrody? Zawsze lepiej działać za wspólnem porozumieniem, prawda?

— Zawiadomię pana — rzekł Shelmore. — Ale wątpię, czy nagroda ta zostanie komukolwiek wypłacona.

— Otóż właśnie! — zgodził się Mellapont.— Plakaty te mogą nam tylko popsuć wszystko. Opracowałem już cały plan śledztwa. Rozumie pan, że morderca bęłzie chciał wyzbyć się zrabowanej biżuterji. Sprzedaż tą należy mu udaremnić.

— Tak, ma pan słuszność, — rzekł Shelmore. — Ale... przypuśćmy, że morderca biżuterję tę postanowił zachować?

— Eh! — zawołał Mellapont. — Nie rozumiem pana!

— Widzi pan, — odparł Shelmore, — mam wrażenie, że cały rabunek był tylko planowy. Poprostu morderca chciał odwrócić od siebie podejrzenie i zaakcentować policji, że Deane padł ofiarą zabójstwa rabunkowego. Jestem jednak pewien, że zamordowano go dla innych jakichś przyczyn.

Mellapont pogrążył się w głębokiej zadumie.

— Naprawdę, nie pomyślałem o tem, — odezwał się po chwili. — Tak, to możliwe. W każdym razie mordercą tym musiał być człowiek niezwykle sprytny i przewidujący, skoro w takiej chwili potrafił wykazać tyle sprytu. Hm! Cała afera tonie w ciemnościach. Należy tylko czekać cierpliwie.

Panna Pretty czekała cierpliwie w ciągu następnych dwóch tygodni. Opiekunowi swemu wyprawiła pogrzeb i świeżą jego mogiłę przybrała świeżemi kwiatami. Następnych kilka dni zajęta była uporządkowaniem swych własnych interesów, a potem odbywała codzienne konferencje z adwokatem Shelmore i inspektorem Mellapontem. Niestety, konferencje te nie rzucały ani odrobiny światła na mroczną sprawę tajemniczego morderstwa. Nadszedł wreszcie dzień ponownej rozprawy śledczej. Sędzia śledczy i przysięgli zaczęli się głowić nad skąpemi szczegółami, które były owocem dotychczasowych poszukiwań. Wreszcie, po dłuższej naradzie, sąd ogłosił wyrok, wyznający szczerze, że zabójstwo popełnione zostało przez niewiadomego sprawcę. Słuchacze poczęli opuszczać salę, znudzeni długiem oczekiwaniem wyroku i zniechęceni tem, że jednak skrytobójczy morderca Jamesa Deane, mimo usiłowań, nie został wykryty.

— Będąc na miejscu policji, nakryłbym napewno tego łotra, — rzekł jakiś miejscowy mądrala, tuż nad uchem panny Pretty, opuszczającej salę sądową. — Niechby się zastanowili trochę i połamali głowy, napewnoby morderca się znalazł. Najgorsze to, że naszej policji nie chce się myśleć!

Panna Pretty wyszła na ulicę z postanowieniem myślenia za siebie i za policję. Jaki skutek odniosło to postanowienie, niewiadomo, dość, że nazajutrz rano zjawiła się w komendzie policji i kazała się zameldować Mellapontowi.

— Zmieniłam zdanie, — oznajmiła lakonicznie, siadając w głębokim fotelu. — Zupełnie zmieniłam zdanie!

— Tak? — zdziwił się Mellapont. — A w jakiż to sposób?

— Wierzę już teraz, że opiekun mój znał tutaj kogoś, w Southernstowe, i że właśnie owej nocy wyszedł z hotelu, zamierzając tego kogoś odwiedzić. Prawdopodobnie umówili się.

— Nie! — zaprotestował Mellapont z zapałem. — Spotkanie to nie mogło być umówione! Przypomina sobie pani, że pokojówka widziała już pana Deane w nocnym stroju. Musiał zatem wstać z łóżka i ubrać się na nowo, ale myśl ta, widocznie, przyszła mu później do głowy. Napewno całkiem niespodziewanie wpadł na tę myśl, ubrał się i wyszedł.

— Tak, — przyznała panna Pretty. — W każdym razie wyszedł, aby się z kimś zobaczyć. Ten ktoś musiał mieszkać w pobliżu miejsca, na którem znaleziono zwłoki.

(D. c. n.)







BEZPŁATNIE ŻĄDAJCIE PROSPEKTÓW „TŁUMACZA JĘZYKÓW OBCYCH" czasopisma, poświęconego szerzeniu praktycznej znajomości języków: angielskiego, francuskiego, niemieckiego.
Warszawa, skrzynka poczt. 396.

STARKA Lanqnera
ŻĄDAĆ W HANDLACH WIN I RESTAURACJACH
Sklep własny Marszałka Focha N°8, przy pl. Teatralnym.



Węgrzyn i Lindorfówna w nowej sztuce Nałkowskiej „Dzień jego powrotu".
(fot. Malarski).

Impresje teatralne

TEATR NARODOWY: „Dzień jego powrotu", dramat Zofji Nałkowskiej.

Należę do tych nielicznych, którym nie podobała się nowa sztuka tak subtelnej autorki „Niedobrej miłości". Nałkowska, która w roku ubiegłym tak udatnie zadebiutowała wielce oryginalną sztuką, drugiem swem dziełem nie zdołała mnie zainteresować. Pomijając pewne braki konstruktywne — przewlekłość zwłaszcza (choć miejscami udaje się jednak Nałkowskiej stwarzać pełne niepokoju napięcie), nie przypadło mi do gustu przedramatyzowanie sytuacji, przytłaczający ciężar naelektryzowanej atmosfery, wzajemna wrogość i nieszczerość postaci scenicznych. Nie przeczę, były sztuki francuskie, w których ta ponura atmosfera niewyładowanych burz gniotła jeszcze silniej (zwłaszcza „Melo" i szereg utworów Bernsteina, Bataille'a oraz de Curela), ale ja osobiście jestem zdecydowanym przeciwnikiem sztuk tego rodzaju. Nie chcę, aby mnie ze sceny dręczono, chciałbym w takich razach skoczyć pośród zamęczających się wzajemnie... i publiczność... bohaterów i zawołać im: „Dajcie sobie i nam spokój, wypowiedzcie się szczerze, nie ukrywając nic przed sobą, postawcie sprawę jasno i postarajcie się jakoś pogodzić. Świat stoi kompromisami, znajdźcie go i wy w waszym dramacie". Mam żal do autorki, że nie pozwoliła Monice iść za Tomaszem i Broni pozyskać Ksawerego. I co będzie z nimi dalej? Zwłaszcza niepokoi mnie, jak się ułoży dalszy stosunek między Moniką a Bronią. Wyszedłem z teatru zgnębiony i szczerze zmartwiony. Proszę mi więcej takich przykrości nie robić, bo nie chcę być od teatru odstraszany. Aktorom—kondolencje i powinszowania za grę. Takież — wytrawnemu reżyserowi Chaberskiemu.

Teatr „MORSKIE OKO": „Podróż na księżyc".

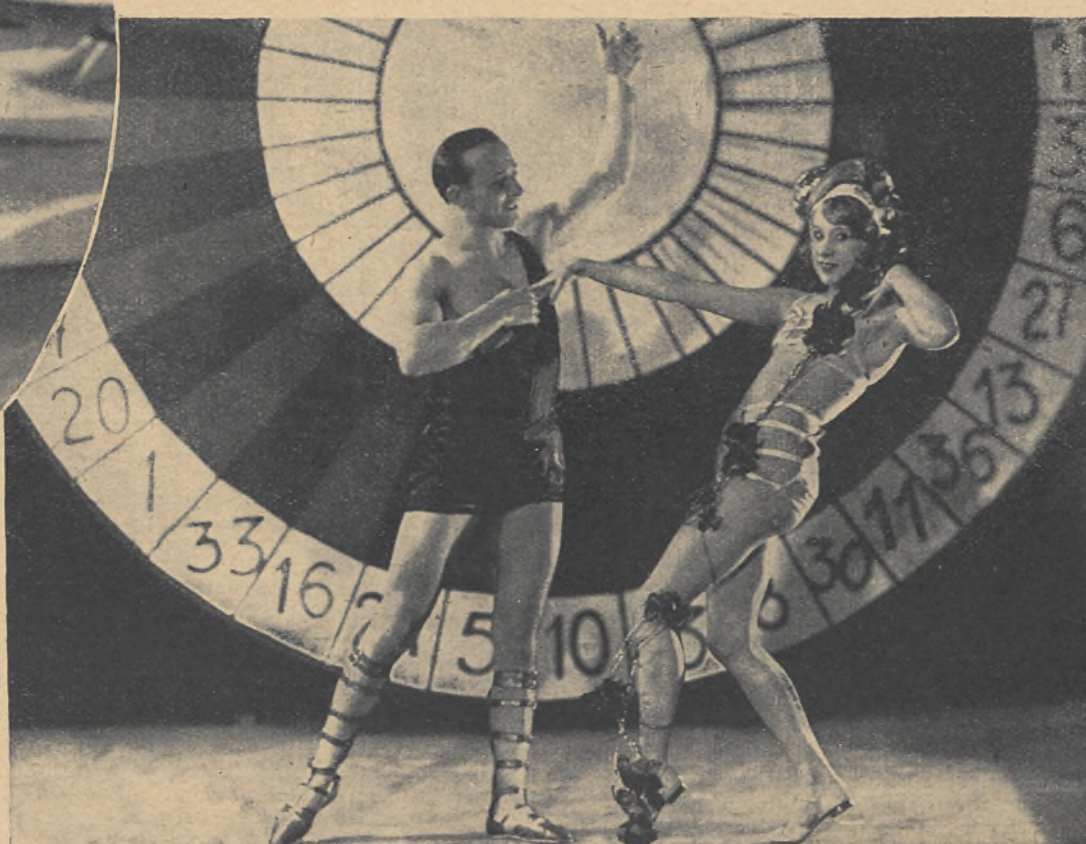
Nareszcie doczekaliśmy się w „Morskiem Oku" tempa! Jak już, to już! Niemal z szybkością lotu rakiety międzyplanetarnej na księżyc przewijają się przed naszemi oczyma przeróżne malownicze zakątki kuli ziemskiej i srebrnego globu, okraszane melodyjnemi piosenkami, zawrotną akrobatyką, tańcami, rozpalane iskierkami błyskotliwego dowcipu i rozedrganego humoru. Szał barw, melodji, radości! W jakimś genjalnym skrócie, w nieokiełznanym fotomontażu wrażeń, migą charakterystyczny nos i „latające" oczy Krukowskiego, czarujący uśmiech Karlińskiej, arcynóżki Pogorzelskiej (pysznej zwłaszcza w scenie skubania ubrań), potworne w swej znakomitości maski Olszy, rozśpiewanie Żabczyńskiego, „cierpiętnika" na miarę... Nowickiej, która odstąpiła mu połowę swej dotychczasowej „martyrologji", a wśród tego nagle błyskawicznie zakręcą się Ney'owie lub fiknie tam i z powrotem Antoszówna na tle zwinnych nóżek i zgrabnych figurek hasających „girls" oraz plączących się między niemi „boys", których wybitnych zdolności nie wyzyskuje się dostatecznie. Może nie wszystkie scenki są doskonałe, ale wszystko mija tak szybko, że trudno nawet się spostrzec. Rzetelny wysiłek „Morskiego Oka" uwieńczył się tym razem zupełnem powodzeniem. Oby tak i nadal...

Henryk Liński.



W dawnej siedzibie operetki warszawskiej, przy ul. Mokotowskiej 73, założony został przemiły teatrzyk p. n. „Rewja". Sprężysta dyrekcja A. J. Gutowskiego jest już rękojmią powodzenia. Znakomicie sekunduje mu zespół artystów z pp. Lasowską, Tokarską, St. Zwirskim i A. Lotharem. Ten ostatni zwłaszcza, występując w podwójnej roli — aktora i kompozytora numerów à la „Lopek", zbiera rzęsiste oklaski. Na zakończenie programu dyrekcja podaje doskonały film niemy. Warto pójść... (na fotografji — A. Lothar w roli „Lopka").





Fenomenalny Lopek — Krukowski i Ney'owie święcą prawdziwe tryumfy w nowej rewji „Morskiego Oka" p. t. „Podróż na księżyc".
(fot. Brzozowski).

ZYGMUNT KAWECKI.

Autoportret

Podniecony przez Szanowną Redakcję „7 Dni“, aby z powodu premjery mojej komodji „Droga do piekła“ — w teatrze Małym — napisać co nieco o piekle, czyli o życiu i warunkach „tworzenia“ polskiego człowieka pióra — zabrałem się w ostatniej chwili do rzeczy, to jest zasiadłem do autoportretu na pół godziny przed przyjściem chłopaczka redakcyjnego, po auto-rękopis.

Czasu zostało mi piekielnie mało — i dlatego boję się, że w pośpiechu gotów jestem napisać coś zupełnie szczerego — i zupełnie prawdziwego o samym sobie.

A przecie nie o to idzie w życiu życiowem — i w życiu literaturnem. Człowiek musi się zrobić na interesującego — albowiem ciekawą nie jest prawda prawdziwa, tylko prawda zełgana.

Otóż, jakby tu o sobie powiedzieć najskromnej rzeczy pochlebne i wyniosłe?

Jeszcze nie wiem. Ale niech pióro skrzypi — niech się feljeton auto-improwizuje.

Zatem rzecz pierwsza: portret fizyczny komedjo-literata — a potem portret moralny. Ritratto fizyczne mojej osobowości jest takie:

Jako statura jestem długi. (Tu — psiakrew — przypominam sobie, że także i mam „długi“). Jako waga, przedstawiam na wadze w łaźni centralnej, pod Messalką — 66 kilo żywej wagi kości, łykowatego mięsa — i energji witalnej.

Jako koloryt wyobraażm swoją cerą szatyna, niecerowanego w żadnym punkcie farbą — bo mam włosy tak lekkomyślne, że nie siwieją. Sposób mogę w słabej chwili zwierzyć zarówno osobom łysym, jak i włochatym — zarówno mężczyznom (nie fryzjerom!) — jak i kobieciątkom).

Jako styl budowy wyobrażam gotyk ze szczegółami renesansu — a dwa razy do *roku* (w święta urodzenia i zmartwychwstania Pańskiego) — po dobrym obiedzie — okazuję pewne „zadęcie“ do *ba-roku* — zwłaszcza w okolicy ekwatorjalnej. Ale to zjawisko trwa nie mniej jak trzy godziny — i niestety — nie powtarza się odtąd — nigdy więcej.

Jako profil, przedstawiam styl dantejski— (co mnie natchnęło też do napisania ‚Drogi, do piekła“). W tem byłem zresztą posłusznym znakomitemu mojemu koledze, Wacławowi Grubińskiemu, który zaordynował mi, abym, pisząc, zasiadał zawsze do biurka, profilem — co gwarantuje rodzenie się (pod piórem) dzieł dantycznych.

Jako hygjena fizyczna przedstawiam absolutny gieniusz, lub absolutny bzik. (Bierzcie, co chcecie).

Myję się ciągle, wszędzie i bez reszty. Pijam rumianki, mleka, kiefiry, Chianti — (tylko z Makuszyńskim) — wiśniak domowy — (tylko z redaktorem Rafalskim) — i „czystą“ — (z całem społeczeństwem).

Jako organizm uprawiam sport mięśniowy (gimnastyka przy otwartem oknie, naprzeciwko którego widać drugie otwarte okno — a w niem dziewicę, która właśnie wtenczas gra na pianinie barkarolę z „Opowieści Hoffmana“) — dalejże sport diofragmiczny — to jest śpiew, od którego tapety puchną i złażą ze ścian — a wreszcie sport długotrwałych przechadzek (po biurach egzekucyjnych magistratu — Izby Skarbowej — i po komornikach, z Chmielnej i z Leszna).

— No — to tyle, co do fizyki. Teraz-że ritratto nie-moralne.

Jako charakter jestem spontanista i improwizator. Mam tyle charakterów — ile ciekawych chwil zaoferuje mi życie. (Prawdziwy zaś charakter objawia się u mnie w samotności — gdy zgaszę elektryczność — i nikt moich myśli, ani lica, nie widzi).

Jako temperament — nie będę się chwalić. Najlepiej osobiście spróbować. (Oczywiście, że ten passus nie odnosi się do moich kolegów po płci).

Jako otrzymywacz zaliczek literackich, jestem smakosz i koneser — zaliczki bowiem nie bierze się na żadne, już gotowe „prace“ — tylko na czysty gieniusz — i jego „ustawienie“ do gotówki.

Jako „przyjaciel“ — nazywam wszystkich przyjaciółmi, aż do chwili katsenjammeru, po wybuchach i wylewach serdeczności.

Jako intellekt zajmuję się czemś, wprost przeciwnem do moich produkcyj literackich.

Aha! A kiedy piszę?

Kiedy wszystkie *gioje* życiowe wyczerpią się — wtedy dopiero zasiadam do pokuty — przy biurku — i pieklę się z desperacji, że zapisuję papier, zamiast żyć.

Rozrywki umysłowe

WIELKI KONKURS ZADANIOWY „7 DNI“

Począwszy od 12-go N-ru rozpoczęliśmy wielki *wiosenny konkurs zadaniowy.*

Konkurs obejmuje zadania, które zostaną umieszczone w n-rach od 12 do 18-go włącznie „7 Dni“.

W każdym n-rze zamieszczamy kupon, oznaczony kolejnym n-rem. W terminie 10-dniowym po ukazaniu się ostatniego zadania konkursowego należy nadesłać wszystkie rozwiązania wraz z kuponami listem poleconym p. a. redakcji. W dniu, o którym nastąpi zawiadomienie, w lokalu wydawnictwa odbędzie się publiczne losowanie nagród.

Nagrody

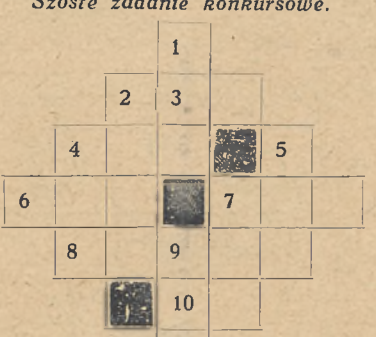
Wśród Czytelników, którzy rozwiążą trafnie wszystkie zadania konkursowe, zostaną rozlosowane

cenne nagrody w liczbie sześciu.

Szczegółowy spis nagród zostanie ogłoszony w Nr. następnym. Oprócz tych nagród przewiduje się *szereg nagród dodatkowych, w postaci książek beletrystycznych, oraz nagrody pocieszenia.*

KRZYŻÓWKA SYLABOWA

Szóste zadanie konkursowe.



Znaczenie słów.

Wyrazy pionowe:

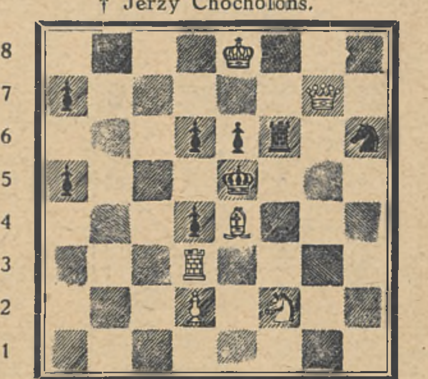
1. Pilny, staranny
2. Imię żeńskie
4. Pobudki postępowania
5. Czynność przeciwna chwaleniu
7. Czynność medjatorska, pacyfikacyjna.
9. Grupa, tłum, zbiorowisko.

Wyrazy poziome:

2. Roślina (drzewo)
4. Trujący (o powietrzu)
6. Należący do jednego z owadów
7. Czynność prześladowania, postępowania za kimś.
8. Zapłata za coś
10. Imię żeńskie zdrobniałe (l. mn.).

SZACHY

† Jerzy Chocholons.



Mat w 3 posunięciach.

Konkurs zadaniowy „7 Dni“

KUPON Nr. 6



CINZANO

VERMOUTH

BYŁ JEST i BĘDZIE NAJLEPSZY W ŚWIECIE

JEN. REPR. THEODOR ETTI & W. BERGEL KRAKÓW

Co to jest „Matte Paraná“?

Prawdziwa herbata brazylijska!

Matte Paraná wydziela kwas moczowy!

Matte Paraná uspakaja nerwy!

Matte Paraná czyni smukłym i elastyczn.

Matte Paraná przeciw podagrze i reumatyzmowi i chorobom nerek!

Do nabycia we wszystkich aptekach i drogerjach

Wieloletnie doświadczenie

uczy nas konieczności chronienia się przed niebezpiecznemi przejściami z jednej pory roku do drugiej. Złudzeni promieniami słońca lub cieplejszą temperaturą kładziemy zwykle zbyt wcześnie lżejsze ubranie. Temperatura natomiast, jak to się często na wiosnę zdarza, może się nagle zmienić — i oto zaziębienie gotowe. Najwyższy wtedy czas, aby zażyć natychmiast parę tabletek Aspiryny, które przy wszystkich chorobach z zaziębienia, bólach głowy i zębów działają, jak wiadomo, w sposób niezawodny. Tabletki Aspiryny są do nabycia we wszystkich aptekach.

Businessman-bandytą

Ukazała się niedawno w Anglji książka przełożona także na francuski, która, nie należąc do zakresu literatury „kryminalnej", opowiada rzeczy, prześcigające swą niezwykłością wszystko, co „pomyśli głowa" romansopisarza o najbujniejszej fantazji. Przyczyna tego jest prosta: książka opowiada rzeczy prawdziwe, rzeczy, których autorem jest życie rzeczywiste, ów najbardziej pomysłowy twórca nieprawdopodobieństw i fantastyczności.

Autorem książki jest F. D. Pasley; tytuł: „Al. Capone". Brak podtytułu: „Na tle epoki". Bo książka Pasley'a mało mówi o Caponem, ale za to bardzo wiele o atmosferze moralnej, na tle której wyrosła i systemie społecznym, którego jest najjaskrawszym wyobrazicielem. Capone, jako indywiduum nie byłby może godny tego, żeby o nim napisać książkę, a już napewno tego, by z takiej książki zdawać sprawę. Ten bandyta i zbir, bombardujący domy rakietami, dopuszczający się gwałtów i terroru, porywający ludzi na ulicy, dla wymuszenia z nich okupu — to figura niewątpliwie efektowna, ale koniec końcem mało co więcej, niż temat dla autora powieści sensacyjnych.

Ale jest inny Capone: Capone wódz organizacji, przeciw której nikt nie śmie podjąć walki; multimiljoner i filantrop, korzystający ostentacyjnie z owoców swej pracy i podejmujący w swych pałacach dostojników państwowych; pan feodalny jednego z miasteczek w okolicach Chicago, z opłacanym osobiście burmistrzem i komendantem policji — ten Capone, to postać, przerastająca swem znaczeniem możność ujęcia powieściowego, to postać, która musi zainteresować socjologa i historyka kultury.

* * *

Ustawa prohibicyjna otworzyła złotą erę dla działalności „gangsterów" (bandytów amerykańskich). Prohibicja amerykańska oznacza nie zniesienie handlu alkoholem, ale wyprowadzenie go poza sferę prawa. Prawnie zlikwidowany — ożył pod inną postacią: stał się wyłączną domeną bandytów — żywiołu najbardziej powołanego do zapewnienia — poprzez wszystkie piętrzące się trudności — ludności alkoholu. Bo ludność chce pić. Codziennie manifestuje swą wolę zdecydowaną i niewzruszoną w tym kierunku. Cóż z tego, że zaspokojenie potrzeby alkoholu odbywa się za cenę wyrzeczenia się spokoju i praworządności?

Cóż z tego, że setki ludzi złożyło swe życie w ofierze tej „idei"? Ofiary snadź konieczne dla funkcjonowania skomplikowanego mechanizmu, dzięki któremu ludność może w całej pełni urzeczywistniać swą wolę.

* * *

Twórcą tego mechanizmu jest Alfons Capone. On, jeden z pierwszych, uświadomił sobie olbrzymie możliwości, jakie czaiła w sobie ustawa prohibicyjna. Ale zanim stał się tem, czem jest dzisiaj — dyktatorem rynku alkoholowego — musiał przezwyciężyć konkurencję t. zw. „bootleggerów", równie, jak on znęconych perspektywą olbrzymich zysków, równie, jak on zdecydowanych na wszystko.

Dziś Capone konkurentów już nie ma. Przeżył ich wszystkich. Przeżył ich dlatego, że większość z nich udało mu się wyprawić na tamten świat — osobiście, albo za pośrednictwem oddanych sobie przyjaciół — podczas gdy żadnemu z nich nie udało się uczynić tego samego z nim.

Dziś jest szefem największego bodaj w Stanach Zjednoczonych przemysłu, który zdołał przystosować do swych celów cały system społeczny. Cechą tego systemu jest korupcja aparatu administracyjnego, o nieznanem w dziejach natężeniu. Sędziowie zwalniają notorycznie znanych przestępców; politycy i senatorowie uczestniczą w pogrzebach osób, których życie było pasmem zbrodni, a śmierć dziełem innych zbrodniarzy; policja w 60% jest opłacana przez bandytów i bootleggerów i uniemożliwia pozostałym 40% dochodzenie sprawiedliwości.

Według E. D. Sullivan'a, autora innej książki o korupcji w Stanach Zjednoczonych, „bootleggerzy" wypłacają na cele korupcyjne 20 miljonów dolarów rocznie; za tę cenę osiągnęli taki wpływ na aparat administracyjny, że prawo w stosunku do nich faktycznie przestało działać. Można być uznanym sprawcą stu zbrodni — i drwić sobie ze sprawiedliwości. Nawet gdy zbrodniarzy chwytają i sądzą nie opłacani przez nich ludzie, nawet wtedy się ich nie skazuje, bo niema... oczywistych dowodów.

* * *

Niepodobna pomyśleć, by taki stan rzeczy mógł trwać długo, gdyby nie moralny w nim udział publiczności, zaspakajanej nie tylko w silniejszej nad wszelkie względy potrzebie alkoholu, ale i w owej, nie mniej istotnej potrzebie niezwykłości i fantastyczności, wcielonej w żywy kształt.

Zważmy, jak musi działać na wykarmioną na awanturniczych filmach wyobraźnię publiczności, jakby wymodelowana na tych filmach figura Capone'a. Ten król podziemnego Chicago, który „zrewolucjonizował zbrodnię", jest wszak żywem wcieleniem owego odwiecznego paradoksu, który będzie zawsze zachwycał umysł prostaczków: „rycerski bandyta" urzeczywistniający swoiście — humanitarne cele, przeciwstawiający szablonowej sprawiedliwości — swoistą koncepcję sprawiedliwości...

Oskar Wilde posłużyłby się Capone'm, jako jaskrawym przykładem dla poparcia swej ulubionej teorji o naśladowaniu sztuki przez życie. Owe rozbijania banków w biały dzień, bombardowanie domu nie dającego przekupić się urzędnika, organizowanie za zrabowane pieniądze pomocy dla bezrobotnych — wszystkie te epizody z życia Capone'a o znamionach doskonałych wyczynów sportowych, czyż to nie sytuacje żywcem wzięte z filmów sensacyjnych?

* * *

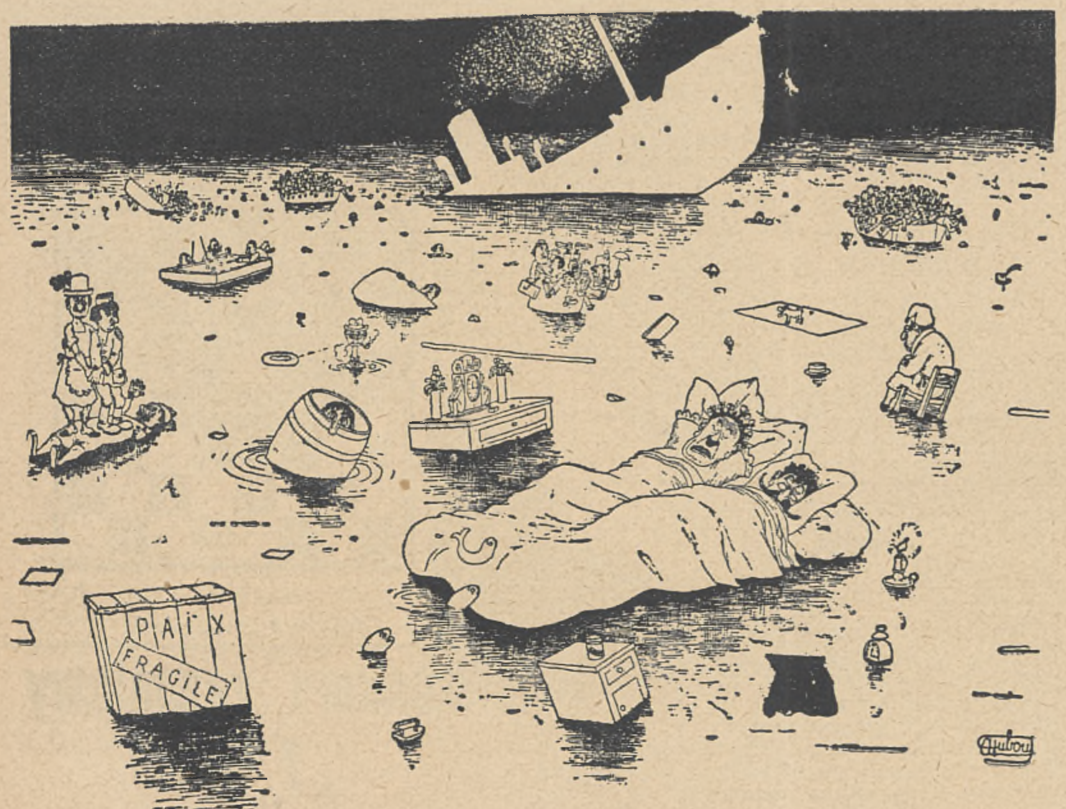
Książka Pasley'a jest prawdziwem przedstawieniem najbardziej niepodobnej do prawdy sytuacji. Nie tylko wyjaśnia w jaki sposób postradało życie 200 osób w Nowym Jorku, a 400 w Chicago — głównym teatrze działalności gangsterów — ale pozwala zrozumieć dlaczego innych 600 osób postrada życie w najbliższej przyszłości.

Sam tok narracji daje już miarę otrzaskania się publiczności amerykańskiej z tą niezwykłą — jak na nasze pojęcia — sytuacją; autor kreśli jej obraz z niewzruszonym spokojem, z niezmąconym objektywizmem — jakby chodziło o rzeczy najzwyklejsze w świecie i ten naturalny tok opowiadania dziwnie kontrastuje z niezwykłością przedstawianych rzeczy.

Ciekawa i pouczająca książka! Można się z niej wiele dowiedzieć o organizacji życia największego dziś w świecie państwa, które po zmonopolizowaniu dóbr materjalnych, dąży do monopolu na wartości kulturalne.

J. Krafft.

HUMOR



— Obawiam się, kochanie, że nie usłyszymy jutro rano, jak obudzą nas na śniadanie.
— Nie obawiaj się. Wiesz przecież, że mam lekki sen...



— Kawalerów należałoby stanowczo opodatkować!
— Ci z pewnością nie wymówią się! Boć nic nie zdoła opłacić rozkoszy swobody...



— Kiedy wiem, że mąż ma wrócić do domu pijany, dzieci nie układam do snu.
— Co to za pomysł? Dałabym mu amonjaku i zasnąłby, jak ta bela.
— Mój pomysł jest lepszy — bo skoro tylko zobaczy czternaście bachorów, w tej chwili trzeźwieje.

Wśród książek

Gebethnera i Wolffa — Warszawa 1931.

Przyjaciel Jim Poker śpieszy się... Wali na całego niczem „Kompund" luksusowego ekspresu... Boć sami tylko pomyślcie: parę miesięcy temu zaledwie — jedna książka p. t.: „Błękitni rycerze", powieść pamiętnik miłego żołnierzyka, dziś znów — jakby na złość Dekobrze „Kobiety w pociągu" *(ce Vieux Maurice* napisał tylko o jednej) i już zapowiedź nowej rzeczy, tym razem morskiej p. t.: „Panna Wodna". Przyjaciel Jim Poker wali w tempie zawrotnem i rychło patrzeć, jeśli tak dalej pójdzie, wyda swój „srebrny" tom, a za nim i „złoty" i t. d. i t. d. Przyczem proszę zauważyć jeszcze jedną cechę — wszechstronność miłego naszego autora, gdyż wciąż weksluje na inne tory (wyrażenie *à propos*) — raz przywdziewając błękitny mundur, lub drelichy, to znów sadowi się na tendrze parowozu aż wreszcie wypływa na pełne morze.

Jim Poker alias Kapitan Nemo... ale przepraszam — to znów inna historja, której nie ośmielę się zdradzić za żadne skarby.

A teraz pytanie: dlaczego recenzję o książce naszego przyjaciela ujmuję w tonie: gawędy, żartu? Czyżbym czcigodnego autora chciał lekce traktować? Uprzedzam więc zgóry, iż żadne insynuacje nie zdołają naruszyć harmonji naszych stosunków.

Jima Pokera traktować należy — *avec le sourire*, odwdzięczając mu się za pogodę, którą wnosi w każdym wierszu swoich rzeczy. Za gallijski humor, za radość życia, za te cechy tak cenne w odmęcie pesymizmu, w jakim się obracamy — należą mu się słowa szczerego uznania.

Więc czegóż życzyć możemy Jimowi - Pokerowi, jak nie n-tego nakładu jego książek, które — tu znów z głębi serca życzenie pod adresem Czytelników — winny być rozchwytywane ku radości nakładców.

Well — Dobre wychowanie na codzień. — Nakł. Wyd. Polskie R. Wegnera, Poznań 1931.

Szczęście sprzyja mi niezwykle — gdyż znowu głos zabieram w sprawie książki autorki, dla której z pewnością nie tylko ja żywię szczere uczucie przyjaźni, ale i wszyscy nasi Czytelnicy, uznający p. Well za niezrównany autorytet w dziedzinie mody oraz za doskonałą feljetonistkę, w przemiły sposób uprzyjemniającą im chwilę. Tym razem p. Well występuje w roli mentora w sprawach *savoir vivre'u*.

Podręcznik traktujący o tak zwanych „konwenansach", skreślony jest na wesoło. Z pogodnym uśmiechem. Recept zawiera mnóstwo, wśród których nie brak: praktycznych, zbijających napuszoność pewnych form, nie licujących ani z czasem, ani ze środowiskiem. Obok przepisów równe miejsce zajmują anegdoty, w których podkreślone są śmiesznostki ludzi, przyoblekających się na pokaz w obce im formy dobrego wychowania. Autorka wykazuje przykładowo, jak ściśle **savoir vivre** związany jest z pojęciem kultury dnia powszedniego, niewymuszonej i pogodnej w swej prostocie.

Rzecz cała napisana jest śmiało i niejednego może nawet urazić, wywołując „kwaśnosłodki", pogardliwy uśmiech — ach jakże jednak konwenansowy! — pod adresem miłej autorki. Lecz olbrzymia większość Czytelników obdarzy p. Well uśmiechem wdzięczności, za szczerą radość, którą im sprawiła swoją książką, za lekcje przejścia przez życie ze swobodą i pogodnym uśmiechem na ustach.

I znów radość życia, tryskająca z kart książki, której wróżymy zasłużone powodzenie.

Halina Zakrzewska — Dzieci Lwowa. — Wyd. 7-e, polecone dla bibljotek szkolnych przez Min. W. R. i O. P. — nakł. Domu Książki Polskiej, Warszawa 1931.

Książka zawiera dwie opowieści, osnute na tle prawdziwych zdarzeń wojennych. „W „Lulu", mowa jest o przeżyciach małego dziecka z okresu walk w Małopolsce Wschodniej, podczas Wojny Światowej. Autorka rzewnie opisuje losy małego tułacza, jakich tak wielu było podówczas, dziecka „niczyjego", pozostawionego własnemu losowi i litości ludzi, którzy w okrutny sposób wymordowując się wzajemnie, wyzbyli się niestety wszelkich uczuć humanitarnych. Uśmiech i łza dzieciny — potrafią jednak skruszyć skostniałe serca, obudzić w nich sentyment godny człowieka. Rzecz cała skreślona jest pewnie i z wielką znajomością ponurego tła, na którem rozwija się akcja.

Druga opowieść p. t.: „W obronie swego gniazda", przenosi nas do okresu bohaterskiego Lwowa. Poznajemy kilka znakomicie zarysowanych sylwetek żołnierzyków - orląt, którzy ledwie mogąc unieść ciężki karabin, już chodzili opromienieni wiekuistą glorją rycerzy, obrońców naszych Kresów. Małym bohaterom przyświecały piękne hasła przodków, zagrzewała ich do czynu miłość Ojczyzny, przywiązanie do rodzinnego gniazda.

Książka p. Zakrzewskiej budzi zainteresowanie zarówno wśród rzesz starszych czytelników, jak też i najmłodszych. Każda karta niemal wyciska łzy szczerego sentymentu.

Tekst po raz pierwszy ilustrują piękne rysunki Molly Bukowskiej.

Artur Górski — Saga o Gislim, wyjętym z pod prawa i inne sagi islandzkie — wyd. Domu Książki Polskiej — Warszawa 1831.

O autorze „Monsalwatu" oraz „Gloss o ludziach i ideach", pisano już niejednokrotnie, uznając w nim niezwykłą głębię myśli i szczerość intencyj podniesienia społeczeństwa ku szczytowi ideałów. Artur Górski jest pisarzem, traktującym sztukę jako służbę publiczną, jest dobrym nauczycielem i przewodnikiem. Gruntowna i wszechstronna jego kultura pozwala mu sięgać do tematów najpoważniejszych, które dzięki talentowi autora z łatwością docierają do umysłów najbardziej odpornych i leniwych.

Sagi islandzkie, odsłaniające nam rąbek życia, opartego o kulturę basenu morza Bałtyckiego, z którym łączyła nas wiekowa tradycja, tem większą dla nas mają wagę, iż spotykamy się w nich z postaciami Kniazia Mieszka, króla Bolesława — z całą genealogją Piastów i z dziejami pomorskich wybrzeży. Sagi, zebrane w tym tomie należą do najstarszych. Styl ich odznacza się naiwną niemal prostotą, pozbawioną wszelkiego liryzmu. Ujęte są w formie zwięzłej, odpowiadającej duchowi czasu. Trzymają się rzeczywistości. Ciekawią nas jako dokumenty życia zbiorowego.

Lektura to szlachetna i mądra — wielce dostojna.

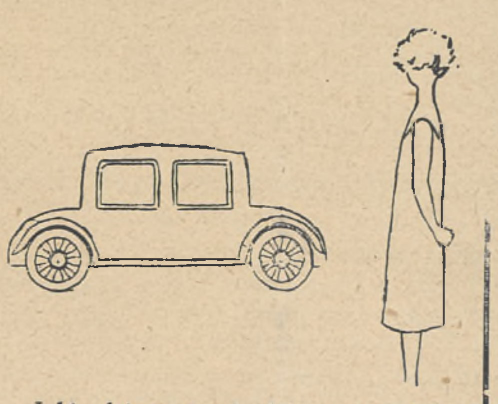
JIM'A POKER'A

NOWA KSIĄŻKA:

„Kobiety w pociągu"

POPRZEDNIA: „BŁĘKITNI RYCERZE"

NA WYCZERPANIU



— *Jakże dziwne panują dziś gusty — kobieta i auto na jedno kopyto... Niewiadomo, gdzie przód, a gdzie tył?*

(Jugend)

Cudze chwalicie swego nie znacie



Krem Vesta matowy lub przetłuszczony, jest idealnym środkiem dla upiększenia i zachowania delikatnej cery. Prosimy przekonać się.

Do nabycia w lepszych składach aptecznych i perfumerjach

Żądajcie

KREM VESTA

Parf. d'Orient. Warszawa







ZAPISZ SIĘ
NA CZŁONKA
KOMITETU
FLOTY NARODOWEJ



ŁÓDŹ, Piotrkowska 99.
POZNAŃ, Plac Wolności 11.

WYDAWNICTWO ALFA • WARSZAWA

SKŁAD GŁÓWNY „MAD" • WARSZAWA • MARSZAŁKOWSKA 99

NOWOŚCI LITERACKIE 1930—1931

Ludwik Lewisohn

DZIEDZICTWO KRWI

Powieść. Przekład z angielskiego Janiny Zawisza-Krasuckiej. Str. 280. Cena zł. 8.—.

Ludwik Lewisohn należy już od lat do owej drobnej garstki znienawidzonych przez Amerykę pisarzy, jak Sinclair Lewis, Upton Sinclair i kilku innych, których dzieła rozchwytują jednak w Europie. Wszystkie jego książki są częściami jednej wielkiej spowiedzi. Nareszcie mamy opis tych różnic, jakie zachodzą między aryjskiem a semickiem dziedzictwem krwi — opis pełen przeświadczenia, że istniejące przeciwieństwa dadzą się złagodzić, a z czasem nawet przezwyciężyć.

Nathan Asch

DZIEŃ ZAPŁATY

Powieść. Przekład z angielskiego Janiny Zawisza-Krasuckiej. Str. 208. Cena zł. 6.50.

„Jest to doskonałe studjum fizjo-psychologiczne owego słynnego „szarego człowieka" z tłumu, który do niedawna jeszcze żył w całkowitem zapomnieniu literackiem, nawożąc skromnie żyzną glebę amerykańską.

Georg Fink

ZABŁĄKAŁEŚ SIĘ

Powieść. Przekład z niemieckiego Melanji Wasermanówny. Str. 288. Cena zł. 10.—.

„Jestem głodny" rozbrzmiewa w dziesięciu językach. Obecnie, po trzech latach od wydania wspomnień z własnego dzieciństwa, Fink ukończył drugą książkę, która ukazuje się w przekładzie polskim w niespełna miesiąc po ukazaniu się oryginału niemieckiego. Ulica i ocean, domy i ludzie, nędzne legowiska i wspaniałe automobile, miłość i ból, rozpacz i żądza mordu, poniżenie i ofiara naraz dorwały się do słowa — a głosu tego świat mówiący nigdy dotychczas nie słyszał.

M. A. Aldanow.

WSPÓŁCZEŚNI

Przekład z rosyjskiego Jana Barskiego. Str. 358. Cena zł. 12.—.

Wśród essayistów współczesnych zajmuje Aldanow jedno z pierwszych miejsc. Dzięki swym pracom, opartym na długoletnich źródłowych studjach i niepozbawionym finezji artystycznej, stał się Aldanow najpoważniejszym rywalem takich essayistów, jak André Maurois i Emil Ludwig.

Vicki Baum

STUDENTKA

Powieść. Przekład z niemieckiego Zofji Petersowej. Str. 265. Cena zł. 10.—.

Vicki Baum napisała tę książkę z głębokiem przekonaniem, że odzwierciedlenie w powieści problematu macierzyństwa pozamałżeńskiego rzuci światło na to palące zagadnienie, tak żywo obchodzące liczne rzesze czytelniczek.

J. Kallinikow

MNISI I KOBIETY

Powieść. Przekład z rosyjskiego Jana Mańskiego. 4 tomy (około 1200 str.). Cena jednego tomu zł. 10.—.

Ten nowy epik rosyjski, odkryty i wprowadzony do literatury przez Gorkiego, kontynuuje swą powieścią wielką tradycję mistrzów rosyjskiej beletrystyki. Książka Kallinikowa to powieść o klasztorze. Erotyka jest zasadniczem tłem tej powieści. Pełno jej w krużgankach klasztoru i pełno w kupieckich kantorach. Z podziwu godną naturalnością znajdują się tam sceny, które dotychczas spotykano conajwyżej w literaturze zakazanej. Kallinikow mianowany został wielkim pisarzem erotyki, nietylko na miarę Rosji, ale na miarę całego świata.

Do nabycia we wszystkich księgarniach

„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE — I WILNIE. Prenumerata krajowa wraz z przesyłką: kwartalna: 5.50; półroczna 10.50, roczna 20 zł. Prenumerata zagraniczna: kwartalnie 8 zł., półrocznie 15.50 zł., rocznie 30 zł. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałkowska 99. Tel. 525-85. Konto PKO 19-447. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk. Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, ½ strony zł 600, mniejsze podług ilości milimetrów, 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy. Klisze ogłoszeniowe, zajmujące więcej, niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe. Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI — Wydawca: „PRASA ILUSTROWANA" S-ka z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 717-98 i 504-46.